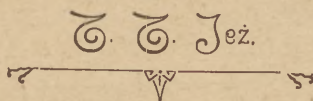
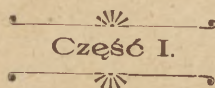


MIŁOŚĆ W OPAŁACH.



MIŁOŚĆ W OPAŁACH

POWIEŚĆ Z DZIEJÓW KROACYI.



WARSZAWA
DRUKARNIA
A. T. JEZIERSKIEGO
47. Nowy-Świat 47.



130683

Дозволено Цензурою.
Варшава, 6 Июля 1902 года.

I.

Przymierze braterskie.

W wieku XVII niebo się nie inaczej, aniżeli w wieku naszym nad ziemią rozciągało, nie inaczej słońce świeciło, nie inaczej się natura oczom ludzkim przedstawiała; inaczej jednak przedstawiały się warunki, wśród których żyli ludzie, zajmujący w społeczeństwie stanowisko wyższe. Silnie rozwinięty indywidualizm wysoko po nad poziom społeczny wynosił jednostki, poczuwające się bardziej, aniżeli potentaci doby dzisiejszej, do „panowania.” Panowie byli „panami” w całym wyrazu tego znaczeniu, biorąc twierdzenie, jako ziemia i wszystko co się na niej znajduje dla człowieka stworzone jest, na swój wyłącznie rachunek; byli panami—jak ci oto dwaj, którzy, przekroczwszy próg komnaty, weszli i jeden obok drugiego zasiedli. Zasiedli w komnacie wypełnionej księgami przy stole, świadczącym o odbywającej się przy nim pracy naukowej. Byli to mężowie poważni, leccy, mimo, że nie starce: jeden liczył lat czterdzieści osiem, drugi czterdzieści dwa wieku — poważni i nacechowani wyrazem tej pewności siebie, którą śmiertelnikom nadają stanowisko społeczne wysokie i majątek wielki. Co do wrażenia, jakie oblicza ich sprawiały, jeden mianowicie szczegół na zaznaczenie zasługuje: zachodziło pomiędzy nimi uderzające rysów

podobieństwo. Od pierwszego rzutu oka poznawało się, że to bracia rodzeni.

Jakoż byli to bracia: Mikołaj i Piotr, potomkowie rodu znakomitego, znanego w dziejach pod nazwiskiem Zrini, w Kroacyi — Zriński. Węgrzy mają ród ów za swój, Kroaci — za swój i ztąd pochodzi dwoistość formy, nadawanej nazwisku. Pierwsi chlubią się Zrinimi, drudzy — Zrińskimi: Mikołajem, co Sziget u bronił i jak bohater starożytny zginął; Jerzym, co oświatę szerzył, szkoły, biblioteki, drukarnie zakładał, i szeregiem całym wojowników i obywateli, którzy z ojca na syna, na polu takim lub innem sprawie publicznej służyli. Nie będziemy wchodzili w spór o narodową rodu tego przynależność. W momencie, do którego się opowiadanie niniejsze odnosi, sprawa narodowościowa nie miała zgoła tego, co obecnie znaczenia. Narodowość ustępowała pierwszeństwa państwu i pozostawała faktem, o który się nikt nie troszczył. Naród odgrywał rolę bezwarunkowo bierną — istniał u spodu, w fundamentach budowli, wzniesionej sztucznie i spojonej cementem łańskim. Budowlę tę przykrywała i cechowała korona św. Szczepana — nazwę jej na zewnątrz nadawały Węgry, które, dzięki zajęciu tronu ich przez monarchów z rodu Habsburgów, znajdowały się, ze względu na historyczne prawa swoje, w położeniu fałszywym. Węgry stały się wraz z Kroacją przyczepkiem cesarstwa niemieckiego. I źle im z tem było — od chwili zwłaszcza, jak państwo Ottomańskie pomknęło zabory swoje na brzeg lewy Dunaju. Zrińscy uważali siebie za obywateli państwa węgierskiego, za przedstawicieli jednej ze składowych onego części, która z niem razem doznawała następstw położenia fałszywego, cierpiąc podwójnie: ze strony Niemiec i ze strony najeźdźców tureckich. Te ostatnie sprowadziły bój, znany w historii pod nazwą św. Gotarda, który Węgry nazywają bitwą pod Koermend (1 lipca 1664). Chreścianie pod dowództwem generała cesarskiego Monte-

kukuli i bana Kroacyi, Mikołaja Zrińskiego — jednego z wymienionych powyżej dwóch braci — odnieśli zwycięstwo świetne i zupełne. Dla Węgier jednak i Kroacyi nie przyniosło ono rezultatów pomyślnych, żądanych, przeciwnie — pokój w Vasvasar zawarty położył nie ich pogorszył.

Zejście się dwóch braci w komnacie zamkowej nastąpiło po zaznaczonych powyżej wypadkach. W kraju zapanował pokój o tyle przynajmniej, że wrzawa wojenna ucichła i nad mieszkańcami nie wisiała groza rabunków, gwałtów, pożogi i morderstw, towarzysząca ruchom wojsk walczących. W pokoju mijały miesiące; minęło lato, nastała jesień — jesień pogodna, rozkoszna, taka, jaka zazwyczaj w Kroacyi bywa. Z okien zamku, zwanego Czakowac, w którego komnacie zejście się Mikołaja i Piotra Zrińskich miało, widzieć się dawały w dali pola i lasy zabarwione w ten sposób, w jaki ziemię barwią październik i listopad.

Zrińscy jeden po drugim próg przekroczyli, i gdy się drzwi za nimi zamknęły, Mikołaj do Piotra z zapytaniem się zwrócił:

— No?... cóż mi powiedzieć masz, żeś tak uroczyście rozmowy ze mną sam na sam zażądał?...

— Chcę — odrzekł zapytany — ażebyś mi postępek swój wytłómaczył... W zdumienie on wprowadził wszystkich, wszyscy jednak tłómaczą sobie takowy oburzeniem, jakim ciebie, bracie, równie jak każdego człowieka, co ma rozum i serce, przejął pokój vasvasarski... Mnie atoli, znającego ciebie lepiej, bliżej i głębiej, aniżeli inni, tłómaczenie to nie wystarcza... Pogodzić się nie mogę z myślą, ażeby Zriński dla tej jeno racyi od spraw się publicznych usunął...

Mikołaj przed oknem stał, na mieniące się złotemi i czerwonymi barwami stoki gór patrzył i w milczeniu słów brata wysłuchiwał. Wysłuchiwał, od okna się odwrócił i zrobił brwiami gest, oznaczający, że

wezwaniu brata młodszego ulegając, tłumaczyć się chce. Zaczął więc:

— Nie taję, że oburzenie jest pobudką główną... Zajmowanie się moje sprawami publicznymi w warunkach, w jakich nas król Leopold postawił, było laniem wody do beczki Danaid... Nie mówiąc o czem innem, gdyby nie ja, armia cesarska nie byłaby pod Koermend zwycięstwa odniosła... nie byłaby nawet bitwy stoczyła.. Jakiż ztąd wynik?

Zatrzymał się, chwilkę pomilczał, ręką machnął i ciągnął dalej:

— Wobec faktów takich poczułem to, co czuje żeglarz, gdy burza na okręcie jego żagle podarła i maszty połamała, ale okrętu nie zatopiła.. Zapra. gnałem portu bezpiecznego i spokojnego, no... i do portu zawinałem...

— Dla poustawiania masztów nowych i powieszania żagli całych — podchwycił brat młodszy.

— Zrazu nie myślał o tem—odrzekł starszy.— Zapra. gnałem spokoju mędrca..

Słowom tym towarzyszyło wejrzenie, którem wskazał na zapełnione książkami półki i na rozłożone na stole przybory do pisania.

— Nie beczynności, ale spokoju, który jest dla myśli tem, czem dla pszczoły łąka kwietna... Zamierzyłem pole pracy zmienić i zostawić po sobie owoce, któreby były posiłkiem dla pokoleń...

— Czyżes owoców takich nie wyhodował?—zapytał Piotr.

— Hodowlę rozpocząłem—odparł Mikołaj—i prowadziłem ją dorywczo...

— Dobrze jednak—wtrącił Piotr.

— Być może... Jest to rękojmia, że prowadzić ją będę doskonale, gdy umysł mój na nią wyłącznie zwróce, usuwając od niego przeszkody i dystrakcje wszelakie...

Bratu młodszemu twarz rozjaśniła się pół-

uśmiechem zadowolenia, co, gdy zauważył starszy, dodał:

— Będziemy spółzawodniczyli... chyba, iżbyś zapragnął zająć opróżnione przeze mnie stanowisko, w razie bowiem takim zerwaćbyś musiał z syreną Adryatyku...

— To nastąpić nie może — podchwycił Piotr.

— Ażebyś z syreną zerwał? — zapytał Mikołaj.

— Ażebym z nią zerwał dla stanowiska...

— Jeżeli banem zostaniesz...

— Banem ja nie zostanę, musiałbym się bowiem w Wiedniu kłaniać i krętemi drogami dobijać, czego nie uczynię; wiedeńska zaś władza nie ofiaruje mi z natchnienia własnego godności tej, albowiem rada jest temu, że takowa, przez zrzeczenie się dobrowolne, z rąk Zrińskich wyszła... Na tem — dodał tonem półzarzutu — polega błąd postanowienia, jakieś, bracie, powziął i dokonał... Powziąłeś je *ab irato*... za pośpiesznie może...

Mikołaj rękę wyciągnął i odparł:

— Nie czyń mi zarzutu tego... Nie postąpiłem sobie lekkomyślnie... Patrz jeno...

Wskazał ręką na leżące na stole w skórę oprawne księgi. Piotr się do stołu zbliżył, okładki zwierchnie ksiąg podnosił i w myśli tytuły czytał: *Joanniŝ Długossi seu Longini, canonici quondam cracoviensis, Historiae polonicae libri XII*; dalej: *Martini Cromeri, De origine et rebus gestis Polonarum libri XXX*; następnie tegoż autora: *Polonia, sive de situ, populis, moribus, magistratibus et republica regni Poloniae, libri II*.

Przeczytawszy tytuły powyżej wymienione, Piotr głowę podniósł i na brata spojrział. W oczach jego świeciło zadziwienie, złączone z wyrazem zapytania, jakby dowiedzieć się chciał: co to znaczy? — dlaczego Mikołaj z księgozbioru swego wydobyl księgi dziejów polskich się dotyczące i niemi się zajmuje? — wreszcie dlaczego jego (Piotra) uwagę na

zajęcie to zwraca? Mikołaj wyraz ten zrozumiał, co było rzeczą łatwą; nie od razu jednak na zapytanie odpowiedział, jakby chciał, ażeby brat sam się domyślił. Ztąd na chwilę dłuższą zapanowało milczenie, w ciągu którego w oczach Piotra potęgował się stopniowo wyraz zapytania. Wreszcie milczenie przerwał Mikołaj.

— Nie to cię zapewne dziwi, że Kaliope zamienił na Klio, ale to, że w towarzystwie jej udał się do krainy Sarmatów?...

Skinieniem głowy Piotr na zapytanie to odpowiedział twierdząco.

— Zgłębić chcę Sarmatów dzieje — ciągnął Mikołaj — nie bez racyi, wypowiedzenie której poprzedzić muszę oznajmieniem, że powziął postanowienie napełniania skarbcza mego tak, jak go nie napełniał żaden z przodków naszych... Studyowanie dziejów Polski połączę z gromadzeniem złota...

— Masz chyba...—zaczął Piotr i zaciął się, zawahał z wypowiedzeniem myśli, co mu nagle w głowie strzeliła.

— No? — odezwał się Mikołaj z akcentem zachęty.

— Masz chyba na Polskę widoki... zamiary?...

— Mam—była Mikołaja odpowiedź.—Powziąłem je ztąd (na Heidenszteina wskazał) i uzupełniłem, wglądając w głąb dziejów narodu, któremu tacy, jak ci (wskazał na Długosza i Kromera) pomniki i świadectwa wystawili. Zuchwałym jest zamiar mój.

— Potęga jej w czasach ostatnich mocno osłabła—zauważył Piotr.

— Osłabła—odparł Mikołaj—tak; nie w istocie swojej jednak, ale przez to, że Jan Kazimierz porazić z nią sobie nie umie.

Znów pomiędzy braćmi nastąpiło milczenie. Mikołaj zdawało się jakby się namyslał, wahał, jakby doznawał trudności w wymówieniu wyrazów, co mu na języku wisały. Wreszcie trudność przemógł i milczenie przerwał:

— Czem był Stefan Batory, tem... może... być-
bym potrafił i ja...

— O!—odezwał się Piotr tonem, w którym zabrzmiało słów tych całkowite potwierdzenie i uznanie. — To wątpliwości nie ulega najmniejszej... byle jeno myśl twoja, bracie, urzeczywistnić się mogła.

— Zrińscy w rycerstwie nie gorsi od Batorych, od Rakocznych... Stanę więc, gdy moment nadejdzie, do spółzawodnictwa moją osobą i moim majątkiem i... los może na mnie padnie... Najwyższy błogosławi zamiarom czystym, a zamiarem moim jest: Polskę podnieść i chrześcijaństwo ratować...

— Nie można jednak nie zauważyć, że będziesz miał niemałe do usunięcia przeszkody... przeszkody, które w czasach ostatnich spotęgował Rakoczy nieboszczyk...

Była to aluzya do udziału, jaki Jerzy II Rakoczy, który umarł r. 1660, wziął w wojnie szwedzko-kozackiej przeciwko Polsce.

— Prawda — odrzekł Mikołaj. — Słuszną jest uwaga twoja... Postępek Rakoczego był haniebnym i rozumowi wstrętnym... Pomiedzy Rakoczymi jednak a Zrińskimi jakież zachodzi związek?

— Dotychczas żaden—odparł Piotr—ale... Zresztą, gdyby się to widokom twoim sprzeciwiać miało, usunąć można będzie związek, który ci się nastręcza, a o którym rozmówić się z tobą chciałem...

— Cóż przecie?—zapytał Mikołaj.

— Księżna wdowa obesała mnie propozycjami, tyczącemi się połączenia węzłem małżeńskim Franciszka z Heleną...

— A?—odezwał się Mikołaj.

— Jak dotychczas, jest to jeno zapytanie uboczne, które usunąć łatwo, jeżeliby się ono, jak powiadam, zamiarom twoim sprzeciwiało... Bez woli twojej, bracie, który jesteś głową rodu, propozycji nie przyjmę żadnej...

Mikołaj się zamyślił; w zamyśleniu razy parę po komnacie się przeszedł i po chwili tak głośno myślał:

— W sprawach politycznych jakże często działają prawa kontrastów! To, co wedle obrachowań ścisłych, przeszkodzić powinno, pomaga nieraz... Tak się stało przy wyborze Batorego, który się ostatni i najskromniej przedstawił, mając przeciwko sobie Francję, cesarstwo i Ojca świętego, za sobą zaś nic nie innego, jeno szczerość i prawdę... Tak samo chcę się przedstawić i ja... Niech ci więc—do brata moję zwrócić—jeżeli do tego przyjść ma, synowica moja z synem najezdcy Polski węzłem małżeńskim skojarzy; nie sprzeciwię się temu; gdy pora nadejdzie, stanę wobec Polaków i powiem: Otom ja wnuk Zrińskiego, co w obronie chrześcijaństwa w Szygicie śmiercią bohaterską zginął, spadkobierca Zrińskiego, który oświatę szerzył, potomek rodu sięgającego początkiem swoim tych czasów, w których poczyną się ród Piastów, potomek rodu Piastom pokrewnego, były ban Krocacyi, zwycięzca z pod Koermend, pan, którego dobra i bogactwa dobrom i bogactwom monarszym się równają, przedstawiam się wam i przyrzekam sobie i wszystko, co mojem jest, na usługi i korzyść Polski i chrześcijaństwa oddać. Polacy się z łatwością przekonają, żem nieprawdą nie szedł i... uwierzyć mi muszą...

Słowa powyższe mówił, po komnacie chodząc powoli. Zatrzymał się i do brata zwracając, zapytał:

— Rozumiesz teraz, dlaczego się baństwa rzekł i od spraw publicznych usunął?...

— O, bracie—odpowiedział zapytany.—Oby się zamiary twoje jaknajrychlej ziścić mogły!...

Mikołaj dłoń podniósł z gestem protestacyi i odparł:

— Janowi Kazimierzowi śmierci rychłej nie życzę... Niech żyje do kresu, jaki mu Pan Bóg naznaczył... Życie jego da mi czas przygotowania należytego kandydatury mojej...

— A tak—podchwycił Piotr—w Polsce stosunki pozawiazywać potrzeba...

— Zapewne... Nie na tej atoli jednej tylko drodze przygotowywać kandydaturę moję będę, ale oraz i na tej—odrzekł, uderzając pięścią o znajdującą się mu pod ręką księgę.

Piotra wejście wyraziło się akcentem zapytania.

— I na tej — powtórzył. — Wezwę ku pomocy Platona, Arystotelesa, Tacytę, Grociosa, Erazma, Długosza, Kromera, Heidenszteina i innych; przy pomocy tej napiszę, czego Polsce brak i czego dla zapełnienia braków jej potrzeba, jak się ona urządzić powinna i jakim przewodnik jej powinien być, ażeby z niej sława i pożytek dla chrześcijaństwa urosła; pracę moję wydrukować każę i narodowi polskiemu ją ofiaruję... Autor *Zriniady*, z księgą drogi Polski prostującą, wobec narodu polskiego, jako spółzawodnik do tronu stanie i zapyta: co mu do zarzucenia jest?... Polacy porównają go z kandydatami innymi... Jak myślisz? — zapytał — czy źle on na porównaniu wyjdzie?...

— Zachwycasz mnie, bracie! — zawołał Piotr.

— Tłómaczę się i usprawiedliwiam przed tobą...

— Szkoda, że usprawiedliwienia tego głośno objawić nie można... Postępek twój za złe jedno-głośnie biorą ci wszyscy przyjaciele nasi; nieprzyja-ciele zaś...

— Co?—zapytał Mikołaj.

— Domyślają się... zamiarów jakichś ukrytych upatrują... podstęp...

— Co do zamiaru ukrytego, rację mają; co do podstępu... nie... Nie rozgłaszam przedwcześnie rze-czy, która do skutku nie dojść może najzupełniej na-turalnie... Śmiertelni jesteśmy: umrzeć mogę prędzej, aniżeli Jan Kazimierz...

— Czyś — zapytał nagle Piotr — pozostawał w ostatnich czasach w jakich z księciem Lobkowi-czem stosunkach?

— W żadnych od tygodni kilku...

— Powiadał mi, że ci przesłał ostrzeżenie, abys się na baczności miał...

— Dlaczego?

— Nie powiedział.. Znasz go... ostrożny... Przypuszczać można, że zagraża ci niebezpieczeń-stwo...

— Jakiel — odparł Mikołaj tonem lekcewaze-nia. — Montekukuli — dodał żartobliwie—w gulaszuby mnie zjadł; ale nimby się w celu tym do Czakowca przyjść namyślił, upłynie wody i lat tyle, że jego i mnie nie stanie... Gdyby się zaś namyślił rychlej i nadsciągnął, to, dzięki krzepkości murów i wierności załogi, odbić go potrafię...

— Jeżeli niebezpieczeństwo ci zagraża — od-rzekł Piotr — to nie ze strony Montekukulego chy-ba, ale...

— Z czyjej?

— Ze wspomnienia o nieboszczyku stryju na-szym...

— No i cóż! Stryj był ewangelikiem; my jednak jesteśmy katolikami dobrymi...

— Jezuitów nie zadowalnia katolicyzm nasz...

— Ha! trudna rada... Zadawalnia księdza Marka, zadawalnia sumienie nasze; wyznania się nie zapieramy, obrządki pełnimy: czy tego nie dosyć?...

— Nie dosyć dla tych, co sumienie króla opalowali i natchnęli go polityką: *facere Hungariam captivam, postea mendicam, deinde catholicam*...

— Ja z nim walczyć nie myślę... do dworu ani zajrzę.. Gdy się przekonają, żem się w rzeczy samej od spraw usunął i nie mieszam się do niczego, zważać na mnie przestaną... Ramię moje uczuć się im da nie pierw, aż na tronie polskim zasiądem... Zapomną więc o mnie... Sam się im kiedyś, jeżeli mi Pan Bóg życia przedłuży i zamiarom moim pobłogosławi, przypomnę...

— Pozwól mi jedną uczynić uwagę — odezwał się Piotr, nieśmiało prawie.

— No?—zapytał Mikołaj.

— Czy takie puszczenie siebie w zapomnienie absolutnie nie zaszkodzi zamiarom twoim?

— I dla czegożby zaszkodzić miało?

— Ludzie garną się do tego, co znać o sobie daje... Myślę o kandydaturze twojej, która, gdy się pojawi nagle, zdziwi, ale... na grunt nieuprawiony padnie... Dlatego, zdaniem mojem, nie wypadłoby jej trzymać w tajemnicy absolutnej... Czy nie mamy na Węgrzech i w Polsce przyjaciół?

Mikołaj znów w zamyśleniu po komnacie chodzić zaczął. Piotr prawił dalej:

— Wesselenyowie, Nadasdyowie, Nagyowie, Czarkowie z nami są ciałem i duszą; Frangopanowie do rodziny naszej należą; Toekielowie... czy o przyjaźni ich dla Zrinich wątpić wolno? Wszyscy oni mają w Polsce wśród panów stosunki i koligacje, których i my pozbawieni nie jesteśmy, które jednak nie przez nas wprost, ale przez nich użytkowywaćby się dały,

celem przysposobienia zawczasu gruntu... Poparcie ich przyda się nam w razie każdym, ale się spotęguje, gdy się im z góry zaufanie okaże... Toć to zainteresować zamiarem twoim, bracie, i pozyskać dla niego należy nie tylko panów węgierskich i polskich, ale i dwory i zakolać: do Ojca świętego, do rzeczypospolitej weneckiej, do króla francuskiego, do księcia siedmiogrodzkiego, do Danii, do Szwecyi... do sułtana może...

— I wywołać a rozbudzić przeciwdziałanie...

— Nie... — odparł Piotr. — Gdy się pole orze, nie powiada się roli, jakim będzie ona rodzajem ziarna zasiana...

— Hm?... — mruknął Mikołaj. — Słuszną jest uwaga twoja... Mają mnie, jak wiesz, łaskawi odwiedzić gromadnie, skorzystamy z tego i poradziemy się...

— Tymczasem, co do porady samej, zasięgnąćby można zdania księdza Marka... Na zdaniu jego i na nim polegać można...

— O! jaknajzupełniej...—odparł Mikołaj.

— Możesz mu zamiar wyjaśnić już?...

— Nie jeszcze... Chciałem przedewszystkiem pomówić z tobą, spodziewając się, że ty najpierwszy do tłumaczenia mnie za usunięcie się od spraw publicznych pociągniesz... Ludzie wiedzą, że jesteśmy braćmi wedle ciała i wedle ducha, że stanowimy w dwóch osobach istotę jedną, że lutnia piewcy „Zriniady” i piewcy „Syreny morza Jadrńskiego” nastrojone są na ton jednakowy... Co jeden mówi po madiarsku, na to drugi odpowiada po kroacku... Rozumiemy się i kochamy i dlatego chodziło mi o to, ażebyś pomiędzy śmiertelnikami o zamiarze moim, zastąpienia działalności pod egidą niemiecką działalnością niepodległą na czele narodu walecznego, wiedział najpierwszy... Nim zamiar mój dojrzeje i urzeczywistni się, umrzeć mogę... Maż on wraz ze śmiercią moją

zginać? Któż go podjąć i do skutku lepiej doprowadzić zdoła, jeżeli nie ty?

Wyciągnął do brata dłoń; Piotr się naprzód po-
dał, pochylił się i w objęcia braterskie się pogarnął.
Uścisnęli się uściskiem braterskim, długim a serdecz-
nym, który był niejako pieczęcią, odcisniętą na
traktacie przymierza, spisany nie na papierze, ani
na pergaminie, ale w sercach ich. Kiedy się ramio-
na ich rozwarły, oczy jednego i oczy drugiego wilgo-
tne były od łez.

II.

Hrabianka Helena.

Komnata, w której bracia Zrińscy pomiędzy so-
bą przymierze zawarli, stanowiła część składową
zamku, będącego ze strony swojej częścią składową
warowni, zwanej Czakowac. Na mapach znajduje się
ona pod nazwą Csakathurn, albo Tschakathurn, albo
Csaktornya. Węgrzy ją madziaryzują dlatego, że leży
na zewnątrz oficjalnych Kroacyi granic, na północ od
takowych, w oddaleniu nie przenoszącem mil geogra-
ficznych czterech. Od granicy oddziela ją rzeka Dra-
wa, przepływająca tak blisko, że ją widać z wyżyn
czakowackich. Czakowac jednak nie ku Drawie, ale
ku Murze ciąży, rozsiadł się bowiem nad jednym
z prawobrzeżnych tej ostatniej dopływów biegnących
z ukosa od zachodu ku wschodowi i przecinającym
wpoprzek prawie widła, które dalej nieco na wschód
tworzą zlewające się w koryto jedno Drawa i Mura.
Gdzie się rzeki te schodzą, tam leży Legrad. Obe-
cnie przez Czakowac, a nieopodal od Legradu prze-
chodzi droga żelazna, znamionująca przemysłowy
i handlowy ruch. W wieku XVII miejscowości te

łączyła komunikacya wojenna; stanowiły one punkty obronne, odpowiadające stanowiskom zaczepnym tureckim, zagrażającym Kroatyi z Kanisy. W Kanisie rezydował pasza, odbierający rozkazy od wezyra, który podbitymi przez Turków Węgrami zarządzał z Budy. Czakowac, własność Zrińskich, ześrodkowywał w sobie sposoby i zasoby obronne. Gród otaczały rowy i mury; zamek wznosił się na wyżynie i jeżył zębami, biegnącemi wierzchem ścian i wieńczącemi baszty okrągłe, z których, ze strzelnic, wyglądały paszcze dział. Na basztach strażnicy we dnie i w nocy wartę trzymali, a na jednej z nich, nad inne wyżej za górą wystrzelającej, po środku wbity i słomianemi smołą napojonemi przewiązankami z dołu do wierzchu obmotany słup służył do dawania ludności znać o przekroczeniu przez nieprzyjaciela rzeką Murą zaznaczonej granicy. Z baszty tej widok rozlegał się szeroko. Gdy się stało obliczem ku wschodowi, oko na prawo i na lewo chwyciło raz się pokazujące, znów znikające, a węzłowemi skrętami wijące się Drawę i Murę, naprost zaś sięgało bielejących murów Legradu. W stronie tej ciągnęły się płaszczyzny, które się na lewo, wzdłuż Mury, rozlewały w podmakające jesienią i na wiosnę trzęsawiska. Ku zachodowi widok przedstawiał się inaczej. W dali siniły góry i góry te, zachodnich Alp styryjskich odskoki, wysyłały ku ujściu Mury garby, które się załamując i rozlicznie kombinując, wytwarzały wobec Czakowca krajobrazy malownicze. Krajobrazy te w dwóch zwłaszcza dnia porach—rano i nad wieczorem—wdziękami jaśniały. Kiedy słońce wschodziło, ożywiały się i uśmiechały; kiedy zachodziło, powlekał je półcień tajemniczy, zagadkowy a uroczy.

Na baszcie tej, w momencie kiedy się słońce ku zachodowi chyliło, a Zrińscy: Mikołaj i Piotr, w komnacie osobnej o sprawach ważnych konferowali, na warcie stał młody, na lat dwadzieścia pięć najwyżej wyglądający człowiek, odziany w barwy gra-

fów Zrińskich i uzbrojony w zawieszony na bandolerze u boku miecz krótki i w halabardę, którą w ręce trzymał. Wedle odzieży, zwłaszcza zaś wedle miny sądząc, poznać w nim można było żołnierza, zajmującego wyższe, aniżeli szeregowca prostego stanowisko. Posterunek, jaki zajmował, wymagał dozoru pilniejszego i dlatego powierzany był oficerom, którzy w czasie owym inaczej się, aniżeli dziś, klasyfikowali. Oficerem uważał się ten, co miał pod sobą ludzi dziesięciu i ten, co przewodził setni; kapitan odgrywał rolę wodza i zajmował niekiedy stanowisko pułkownika. Kapitan albo kapetan (od *caput*—głowa) odpowiadał analogicznie godności paszy, którego tytuł jest pochodzenia tegoż samego (*pasz basz* — głowa). Wartownik, o którym mowa, nie należał do tej kategorii wysokiej. Był to jednak oficer, który w czasach naszych, luboć „subalterny”, nie byłby na warcie stawiany.

Miejsce, na którym się znajdował, przedstawiało się pod postacią platformy lekko wypukłej, murywanej i krągłej. Na środku sterczał słup sygnałowy. Wokół wznosiła się ściana gruba, krenelowana. Wzdłuż ściany biegł rów, służący do ścieku w czasie deszczu wody, która spływała do otworu i przez otwórów na zewnątrz rzucała się kaskadą. Inny otwór, okutą zasuwą nakrywany, służył do wchodzenia na platformę i do schodzenia z takowej za pomocą schodów kręconych, idących przez cztery piętra, z których na każdym znajdowała się izba, oświetlona światłem, wciskającym się przez poprzebijane jedna obok drugiej strzelnice. Dzięki zębom na wierzchu i strzelnicom na piętrach, baszta w razie potrzeby pięcioma szeregami ogniem kolistym zionąć mogła.

Wartownik, halabardę na ramieniu trzymając, przechadzał się krokiem powolnym wzdłuż ściany — co sprawiało, że chodził w kółko. Od czasu do czasu zatrzymywał się przed luką tą i ową, okiem przez chwilę po płaszczyźnie lub po górach powodził

i zwykle zwracał się w stronę przeciwną. Raz chodził lewem, znów prawem do ściany ramieniem. Z dołu patrząc, w lukach pokazywała się postać jego i połyskiwała halabarda w odstępach regularnych. Chodząc, nucił, a nucąc, przerywał sobie i ruchy zmieniał; niekiedy zamilkał, zamyślał się i miał miłą taką, jak poeta „z poematem w głowie.” Do koła szeroko panowała cisza, przerywana świegotaniem wróbbli lub krakaniem wrony. W momentach zatrzymywania się w chodzeniu, uwaga jego zwracała się nie na widoki, co się w krajobrazach rozwijały, ale na stado szpaków, które, niby obłoczek czarny, słaniało się szybko w powietrzu, tworząc figury rozmaite. Zajmowało go widowisko to, oczami śledził zwoje i skręty ptasie, które się to od baszty oddalały i na horyzoncie niknęły, to się do takowej zbliżały. W momencie pewnym stado szpacze tak się zbliżyło, że szum onego słyszeć się dał. Zaszumiało, jakby wichrem gnane przeleciało i wzięło kierunek taki, jakby mimo baszty na podwórzec zamkowy wpadło. Wartownik kroku przyspieszył celem przeświadczenia się, azali w rzeczy samej szpaki na podwórze wleciały, podszedł do zwróconej ku zamkowi ścianie, przez lukę krenelową na zewnątrz głowę wychylił i — szpaków nie zobaczył. Głowy jednak nie cofnął. Zafrapowało go widowisko inne, bardziej zajmujące i ponętniejsze. Przez środek podwórca szło ludzi dwoje — on i ona. Widowiska rodzaju tego zawsze mają dla ludzi młodych pociąg, który w razie tym potęgował się przez to, że ona przedstawiała się pod postacią wyszłego świeżo z lat dziecinnych dziewczęcia, ozdobionego nie młodością jeno, ale oraz i krasą. Była to smukła, kształtna, urokami z dołu do góry owiana panna. Ze szczytu baszty wartownik widział ją w postawie, która się w języku malarskim nazywa skróceniem. W oczy rzucały mu się przede wszystkim jej ciemno-płowe warkocze, połyskujące odbłaskiem metalicznym i jej ramiona, przysłonięte

narzutką siatkową, przez którą przebijało się ciało gorsu bogato rozwiniętego. Szła przodem, za nią podążał człek wzrostu słusznego, na którego głowie, siwiejącym włosem okrytej, połyskiwała szeroka tonsura i którego postać okrywał habit zakonu św. Augustyna. Na tego ostatniego młody człowiek nie zważał. Uwagę jego postać dziewicza pochłaniała całkowicie. Przypatrywał się jej z zajęciem. Zajęcie wszakże niebawem zmieniło się w zdziwienie, gdy zmiarkował, że para ta ku wnijściu do baszty zmierzają. Przez lukę się mocniej wychylił i patrzył. Panna się przed wnijściem zatrzymała, słów kilka, ręką zlekka gestykulując, do zakonnika przemówiła i do drzwi wkroczyła. Wartownik od luki się oderwał, wyprostował się, odzież swoją wejrzeniem obrzucił, przylgniętą do niej od muru nieczystość palcami na odlew strzepnął, bandolier na sobie poprawił i, habarbę na ramię wzięwszy, zaczął dalej powoli chodzić. Chodził i wzrok zwrócony trzymał nie na okolicę, z kąd spodziewać się można było najścia Turka, ale na otworze, który z wnętrza baszty wyprowadzał na platformę. I ztąd się najścia spodziewał.

Ścisłe rzecz biorąc, na stanowisko to wkraczać prawa nie miał kto inny, jak patrole, ronty i wodzowie, a do tych nie należeli: mnich Augustyjan i panna. Wartownik jednak znał ich. Nie wchodzili oni do kategorii wodzów, nie mniej przeto posiadali prawa zaprzeczeniu nie podlegające, wobec których miękły i w niwecz się obracały przepisy regulaminu wojskowego. Któżby z największych kodeksu służbowego rygorystów zaprzeczyć mógł w zamku czakowackim prawa wkroczenia na posterunek Helenie hrabiance Zrińskiej, córce Piotra, synowicy Mikołaja? Prawa tego zaprzeczyćby można mnichowi; ten atoli, idąc wraz z hrabianką, znajdował się pod osłoną przysługującej jej prerogatywy. Wartownik jednak wahał się, azali ma lub nie osoby najście czyniące zatrzy-

mać w otworze po niemiecku brzęcącym okrzykiem służbowym:

— Stój!... kto idzie?...

Wahał się, nie wiedział co począć, zdecydował się wreszcie na uczynienie przepisom zadość; lecz mu wyrazy na ustach zamarły, gdy z otworu wysunęła się głowa, za głową ramiona, za ramionami biust, stan, kibić i postać cała, która się wynurzała z głębi kamiennej i sprawiała wrażenie takie, jakby z obłoku wychodziła. Pod wpływem bijących od postaci jej uroków kamienie istotę zmieniały. Tak z piany morskiej Afrodyta wynurzać się musiała. Hrabiance okoliczność ta, że miała na sobie odzież, wdzięków nie ujmowała. Wykazywały się one stopniowo oczom wartownika, którego w oniemiało wprawiły tem zapewne, że w chwili, kiedy on do wygłaszania okrzyku regulaminowego usta otwierał, w chwili tej w oczy jego weszły dwa prądy promienne z oczów hrabianki. Zamiast przeto wydania okrzyku, halabardę z ramienia spuścił, zwrócił się do dziewczyny frontem, broń do nogi wziął, wyprostował się i oniemiał. Gdyby hrabianka nie była taką piękną, byłby prawa nie przekroczył.

Ona mu w oczy spojrzała i wyszła, a wyszedłszy, ku otworowi się zwróciła i głosem, który srebrzyście zadzwonił, w głąb zawołała:

— Ojcze wielcebnym!... gdzie wy?...

Z głębi słyszeć się dała odpowiedź, ale niewyraźna jakaś. Dziewczyna znów zawołała:

— Ciężko wam?... Spocznijcie sobie!...

Odwróciła się i na żołnierza przelotnie rzuciwszy wejrzenie, powiodła do koła oczami, jakby czegoś szukała. Po chwili poszła w stronę, z której widok na płaszczyznę wybiegał—co ją od żołnierza na całą platformy szerokość oddaliło, zatrzymała się przy jejnej z luk i rozpatrywać się w dali zaczęła.

Po niejakiś czasie z głębi odezwało się postękiwanie, które, zrazu głucho, stawało się coraz to

wyraźniejsze. Następnie postękiwaniu zawtórowało sapanie.

— Oh... uh... ufl...

Żołnierz odchrząknął, jak czyni człowiek, co się do odezwania zabiera. W chwili tej z otworu wynurzyła się tonsurą połyskująca głowa siwa i, jak skoro się ponad platformą ukazała, wnet zabrzmiał z ust wartownika donośnie, a z naciskiem rzucony okrzyk:

— Stój?... kto idzie?...

Żołnierz krok naprzód postąpił, halabardę pochylił i ku głowie siwej ostrzem ją zwrócił. Głowa się znieruchomiła i niezwłocznie obok niej pojawiła się postać hrabianki, która zdziwiona z wyrazem zapytania oczy w żołnierza utkwivszy, odezwiała się:

— Co to znaczy?...

Żołnierz wyprostował się i halabardę do nogi ściągnął:

Hrabianka na niego przez chwilę popatrzywszy, do zakonnika przemówiła:

— Chodźcie, ojciec wielcebnym...

— Hm... czy wolno?...—zapytał tenże.

Helena zapytanie to wejrzeniem żołnierzowi powtórzyła i otrzymała od niego odpowiedź taką, jaką posągi dają.

Niby wkopany stał i ani mrugnął.

— Czemużby — rzekła po chwili — miało być nie wolno wam, jeżeli wolno mnie?... Chodźcie, ojciec...

— Hm?... racya... — odparł zakonnik. — Rad bym wszelako wiedzieć, co o tem myśli pan wojak, któremu chwali się pełnienie powinności...

Wojak się nie odzywał.

— Powinność ta tyczy się snadź — zaczęła hrabianka — takich jeno, których o złe zamiary podejrzuwać można... Jakież złe zamiary wy żywić możecie?... Wy i ja przychodzimy tu w celu oglądania okolicy czakowackiej przy zachodzie słońca...

— Wolno?... — zapytał mnich żołnierza, zapytanie skinieniem głowy i brwi akcentując.

Żołnierz odpowiedzi nie dał.

— Kto milczy—przyzwala...—rzekł Augustyanin i wznosić się zaczął ponad otwór.

Wkrótce wynurzył się całkowicie.

— Ach!...—westchnął i dodał:—O toż schody!...

— Jam się nie znużyła zgoła... — odparła hrabianka.

— Byłbym się nie znużył i ja, gdybym miał lata wasze, dostojna panno... Lata ciężarem są...

Rzekłszy to, zapytał:

— Cóż ztąd widać?

— Chodźcie...

Poszła przodem do luki, przy której stała poprzednio i, gdy obok niej zakonnik stanął, zaczęła, palcem pokazując:

— Zieleni, niby morze... fal jeno i szumu brak, ale zato pokazują się na niej przedmioty, które widok urozmaicają i ożywiają... Patrzcie tam; widzicie?...

— Smugi białe... — odrzekł mnich, po chwili wpatrywania się w dal.

— A tam?...—zapytała, w prawo pokazując.

— Toż samo...

— To Legrand, a to Warasdin... Szukajcież teraz smugów błyszczących, co się wśród zieleni przewijają...

Mnich czas jakiś oczami powodził i odrzekł:

— Nie widzę...

— A jam dopatrzyła odrazu...

— Co oczy wasze, to nie moje...

— Wzrok wasz jednak dojrzał smugi białe...

— Dlatego, że białe... Biały kolor widzi się najdalej...

— Czemu? — zapytała hrabianka.

— Jest to kolor niewinności...

— Niewinność przeto pokazuje się zdaleka?...

— W sposób ten ludziom się zaleca...

Hrabianka tłumaczenie to do wiadomości przyjęła i znów zakonnika do odnalezienia smug jasnych wezwała. Zakonnik jednak nadaremnie wzrok powtórnie wyteżał. Smug nie widział ani na prawo, ani na lewo, zasłaniało je sitowie z jednej, a oddalenie z drugiej strony i trzeba było wzroku bystrego, ażeby odróżnić wśród barw jesiennych paski sinawe oznaczające wodę...

— Ja przecie widzę... widzę wyraźnie... — mówiła hrabianka. — Oto Drawa, a to Mura... Mimo jednak, że smug tych nie widzicie, nieprawdaż, ojcze, że natura w stronie tej przedstawia się pięknie?...

— Wszędzie się ona przedstawia pięknie, wszędzie bowiem wyobraża wielkość Stwórcy...

— O tak... Stwórca jednak wielkość swoją odziewa rozmaicie, tu tak, owdzie inaczej i widoki jej rozmaicie budzą u nas upodobanie...

— Prawda... — odrzekł zakonnik z akcentem uznania dla słów, które w ustach dziewczyny tak młodej świadczyły o dojrzałości umysłu.

— Jak oto tu, na przykład... — ciągnęła. — W stronie tej przedstawia się nam obszar i oko sięga najdalszych horyzontu granic... A chodźcie, ojcze, tam...

Odwróciła się i poprowadziła zakonnika ku ścianie przeciwnej, do luki, obok której wartownik z habardą u nogi stał.

— Patrzenie jeno... Inny świat: góry, lasy, skały... tam piękność inna, tu inna, a jedna i druga tajemnicza... Tajemniczość nas pociąga...

— Ciekawość... — wtrącił zakonnik tonem upomnienia.

— Niewinna... — odparła hrabianka. — Nie pytam, co i jak jest... to rzecz boża; ale, patrząc na te góry i lasy, co zdaje się, jakby drzemały, domyślam

się, że za osłoną ich ukrywa się coś, cobym widzieć rada...

— Ukrywa się zwierz wszelaki w legowiskach, wiewiórki w dziuplach, ptactwo rozliczne na gałęziach...

— Nie to tylko... W odgłosach, jakie nas z głębi lasów dochodzą, słyszymy takie, których nie wydają ani zwierzęta czworonożne, ani ptaki, które się odzywają, kiedy wiatr nie szumi, a kiedy szumi, to raz mu przewodniczą, znów wtórują... Kto głosy te wydaje?...

— Hm?...—odparł zakonnik.—Czy głosy te nie są złudzeniem?...

— Złudzeniem... — podchwyciła — może... nie wiem... Złudzenie to atoli powtarza się od tak dawna, tak często i dotyka ludzi tak dużo, że w złudzeniu samem coś prawdziwego być musi... Dziś przecie, ojcze, czytaliśmy o nimfach leśnych i wodnych, o dryjadach i najadach, o syrenach...

— Wymysły poetyczne...—odrzekł zakonnik.

— Zapewne... ale w części może... Poeci nie wymyślali sami... O istotach tych dowiedzieli się od innych, ci zaś inni: czyż wszyscy poetami byli?... Sam mnie nauczałeś, ojcze, że w starożytności ludzie więcej i lepiej, aniżeli w obecnych zepsutych czasach, widzieli i słyszeli...

— Widzieli i słyszeli, co Najwyższy im widzieć i słyszeć pozwalał...

— Przypuszczać więc się godzi, że nie zabraniał oglądać istot, o których nam starożytni wiadomość podali, a które my przecuciem naszym zeznajemy... Ojciec mój nie mógłby pieśni swoich pod natchnieniem syreny morza Adryatyckiego ułożyć, gdyby podanej mu przez starożytnych za istniejącą syreny przecuciem własnem nie uznawał...

— Są to — odparł zakonnik — podania pogańskie...

— Tłómaczyłeś mi to, ojcze, gdyśmy Enei-

dę czytali... Wierzę temu, że są to podania pogańskie...

— Które Kościół odrzuca...—wtrącił.

— I słusznie...—ciągnęła dalej;—zdaje mi się jednak, że odrzuca dlatego, ażeby istotom, o których mówimy, czci Bogu i wybrańcom jego należnej nie oddawać... Po za to odrzucanie nie idzie i zostawia nam swobodę domysławiania się przynajmniej, że tam—na widniejące, a cieniem nadwiecznym przysłonięte lasy palcem wskazała—zamieszkują istoty, nie będące ani aniołami, ani ludźmi, zagadkowe, piękne, nieszkodliwe, przy blasku księżyca ukazujące się śmiertelnikom niekiedy i obdarzone przymiotami, których ludzie nie posiadają...

-- Złudzenie... złudzenie... — odrzekł zakonnik.

— Złudzenie, z którym się rozstawać żal... Przypuszczać jednak można, że istoty takie istnieją...

— Nie istnieją...

— Wila... — odezwał się niespodzianie głos z boku.

Zakonnik i hrabianka zwrócili się razem ku wartownikowi, który, obok nich stojąc, rozmowę ich całą słyszał, ale udziału w niej nie brał. Na raz odezwał się i, odetchnawszy, dodał co następuje:

— Wila mieszka na górach w lasach: widział ją człowiek nie jeden...

— Wila?... — zapytała hrabianka.

— Piękna jest, nieszkodliwa, pomocna nawet: gdyby nie ona, nie stałoby już plemienia naszego...

— Tyś jej jednak nie oglądał... — rzekł zakonnik.

— Nie oglądałem jej, alem ją słyszał...

— Gdzie i kiedy?... — podchwyciła hrabianka.

— Kiedy mnie po rozprawie słuńskiej graf Piotr wysłał, ażeby języka dostał, zabłąkałem się w górach i nie wiedziałem, w którą się zwrócić stronę... Ze szczytu góry do uszu moich doszło wołanie: „w prawo!...” Wołanie to słyszałem ja i huzary, co

ze mną byli... Poprowadziłem ich w prawo, wyszliśmy szczęśliwie, językaśmy dostali i za powrotem moim graf poszedł z nami za Turkami w pogoń: zabiliśmy Turków dwie seciny, wzięliśmy stu czterech w niewolę i zdobyliśmy pięć bajraków tureckich... Gdyby nie Wila, byłbym ja z huzarami przepadł i graf by nic o nieprzyjacielu nie wiedział... Słyszałem ją, ale jej nie widział...

Opowiadania żołnierza hrabianka wysłuchiwała z zajęciem żywym; gdy skończył, jeszcze słuchiwała i w milczeniu, powoli, podniosła na niego oczy, z których na żołnierza spłynęło wejrzenie pełne słodyczy i wdzięczności. W chwilę później zabrzmiały w ustach jej wyrazy:

— Aleś nie widział...

— Nie widziałem... — odrzekł.

— A znasz takich, co widzieli?... —

— O... znam... Widział ojciec mój rodzony...

— Jakże to było?...

— Kiedy ojciec mój z Ozalii do Seni wracał, wypadło mu za Ogulinem w górach Kapelskich nocować... Na noc stanął, ognisko rozłożył i przy ognisku do snu legł... Około północy obudził się... patrzy, przy ognisku ktoś siedzi... Kto?... niewiasta jakaś... Ojciec się podniósł; niewiasta wstała i powoli, nie oglądając się, w las odeszła... Miała na sobie długie, białe szaty, a od niej tak jaśniało, że kiedy się wśród drzew ukryła, zdawało się, jakby kto z pochodnią w las się zagłębiał... Ojciec mój widział to na oczy własne...

— Gdzież ojciec twój mieszka?...

— Oh... — odrzekł z westchnieniem — mieszka on teraz pod murawą zieloną...

— Nie żyje już?...

— Pod Ottoką, pod grafem Piotrem zginął...

— Czy nie Boguliewicz?.. — zapytała.

— Nie... Wuk Jowanowicz...

— A... — odezwała się, z wyrazem przychył-

ności w oczach na młodego człowieka patrząc. Był to wojak waleczny... dużom o nim słyszała...

Żołnierzowi powtórne z piersi wydarło się westchnienie. Westchnął, naprzód się nieco pochylił i chrząknął.

Hrabianka zabierała się do zadania mu pytania jakiegoś nowego, gdy z głębi podwórca zamkowego słyszeć się dało wołanie gromkie.

— Ojcie Marku!... a! ojcie Marku!...

Zakonnik, gdy mu się wołanie to po raz pierwszy o słuch obito, brwi sfałdował i ucho nastawił; za drugim razem do luki się zbliżył, wychylił się i głośno zawołał:

— Otom ja!... A co tam?...

— Najdostojniejszy ban wzywa wielbność waszą!... — zabrzmiała w dole odpowiedź.

— Dokąd?...

— Do książnicy!...

— Wnet idę!... — odpowiedział.

— Idziemy... — rzekła hrabianka z lekkim niechęcią odcieniem, nie w porę bowiem przychodziło wezwanie, odrywające ją od materyi, która w niej budziła zajęcie żywe.

Rady jednak nie było. Z żołnierzem sam na sam pozostawać nie mogła.

III.

Dwie hrabiny.

Ksiądz Marek, którego nazwisko rodowe było Forstał, pełnił ważną na dworze Zrińskich funkcję: kapelana, nauczyciela i sekretarza. Ta ostatnia nie miała charakteru oficjalnego. Sekretarstwo pozosta-

wało w rękę kogo innego i kto inny zawiadywał zwyczajną przychodzącą i odchodzącą korespondencją; ojciec Marek zaś wzywany był w razach takich jeno, gdy się nadarzała sprawa, wymagająca tajemnicy. Tajemnica bywała dwojaka. Jedna pochodziła bądź z nakazu, bądź z polecenia rządu wiedeńskiego i dotyczyła się stosunków, powierzanych w imieniu cesarza dostojnikom, zajmującym stanowiska, które wprowadzały ich w styczność z władzami państw zagranicznych. Stanowisko takie właśnie zajmował ban Krocacyi. Drugi rodzaj tajemnicy odnosił się do własnej dostojnika osoby i bywał ważniejszy lub mniej ważny, stosownie do tego, co ta osoba sama przez się znaczyła. Taki Zriński, mimo, że baństwa się zrzekł, znaczenia wysokiego nie postradał i tajemnice osobiste jego posiadały wagę, której lekceważyć nie wypadało. Do osłaniania takowych używano cyfr, znanych jeno powiernikom takim, przed którymi nie do ukrywania nie było. Do tajemnic tego rodzaju w wieku owym służyli księża, po największej części zakonnicy. Jedni krążyli po Europie w charakterze posłów sekretnych, obarczonych misją delikatną, drudzy, przywiązani do osobistości wysoko postawionych, byli depozytaryuszami uczuć, myśli, widoków, zamiarów i cyfr.

Nauczycielstwo księdza Marka zwracało się do pokolenia młodego i obejmowało dwóch chłopców i dziewczynę: syna Mikołaja, syna Piotra i tego ostatniego córkę starszą, hrabiankę Helenę, która starsza od swego stryjecznego i rodzzonego brata, odznaczała się pojętnością i ciekawością, a także skłonnościami niekoniecznie płci jej odpowiedniami. Uczyla się wszystkiego, co do zakresu edukacji męskiej wchodziło: języków starożytnych, retoryki, matematyki, historii i w historii naprzykład zajmowały ją najbardziej wojny. Czytała Eneidę i na pamięć umiała te ustępy, w których poeta opiewał boje; czytała Plutarcha. Książk miał z nią kłopot z tej ra-



cyi, że na polu nauki przodem wybiegała tak, że nie tylko braci wyprzedzała, ale nauczyciel doznawał w pożądanu za nią trudności. Trudność potęgował poetyczny ducha jej nastrój. Wiadomości, jakie z ksiąg czerpała i jakich jej ksiądz udzielał, przerabiała w umyśle swoim na poematy, które stosowała do ziem rodzinnej, do narodu, do położenia w jakim się Węgry i Krocacya znajdowały, do bohaterskich postaci przodków, do bohaterów stryja i ojca, którzy zasłynęli jako rycerze i jako poeci—poeci narodowi, jeden węgierski, drugi kroacki. Helena *Zriniadę*, utwór stryja, i też samą *Zriniadę* w tłumaczeniu ojcowskim na język kroacki, równie jak utwory tego ostatniego oryginalne, jak np. *Syrena morza Adryatyckiego*, na pamięć umiała. Ksiądz na drodze tej podążał za nią; nie zawsze jednak podążyć zdołał.

Wezwanie księdza, podczas kiedy on z hrabianką ze szczytu baszty widokom się przypatrywał, nie zdziwiło ani jego, ani hrabianki. Hrabiance sprawiło ono przykrość niemającą. Nie było jednak rady. Ruszyła przodem. Zakonnik spuścił się za nią. Znikli we wnętrzu baszty i po chwili oboje wynurzyli się na podwórzu, na którym z góry postać dziewczyny odprowadziły do samego na ganek wnijsćia oczy wartownika. Podbiła serce żołnierza.

W sieniach zatrzymała się.

— Co za szkoda — do zakonnika rzekła — żeśmy na baszcie dłużej pozostać nie mogli...

— Widzieliśmy, co do widzenia było...

— Możeby nam się Wila była pokazała...

— Ja w Wilę nie wierzę...

— Ale ja wierzę — rzekła półżartem. — Wiara zaś, jak napisano, góry z miejsca na miejsce przenosi, a zatem i Wilę kiedyś pokaże...

Zakonnik hrabiance palcem pogroził i udał się w prawo, podczas kiedy ona w lewo się zwróciła i drzwi do komnat wewnętrznych prowadzące otworzyła. Komnaty nie zalecały się, jakby się spodzie-

wać należało, przepychem. Stolica rodowa Zrińskich znajdowała się w Ozalii; Czakowac służył za rezydencję oficjalną, za rodzaj filii Zagrzebia, który, jako stolica krainy, wymagał obecności bana. Ban w Czakowcu tę miał dogodność, że zajmował posterunek militarny, a przytem bliżej mu ztąd było do Gracu, do Presburga i do Wiednia, trzech punktów, z którymi go łączyły stosunki służbowe. Nadto, był u siebie, rządził krajem z majątku własnego, nie ulegając kontroli i natręctwu wojskowych i cywilnych urzędników z Wiednia nasyłanych. Z racyi tej zamek czakowacki, acz zaopatrzony dostatnio, ustępował pod względem przepychu zamkowi ozalijskiemu. Malowidła, zwierciadła, kobierce, tyftyki, brzozy, marmury znajdowały się w tamtym. W tym umeblowanie i przyozdobienie cechowała surowość względna i komnaty, przez które hrabianka przechodziła, nie posiadały okazów, świadczących, że zamieszkuje w nich jeden z najbogatszych korony Św. Szczepana magnatów. Z komnat tych pierwsza, do której wkroczyła, przedstawiała się pod postacią obszernego bardzo równoległoboku, ze ścianami przyozdobionymi w panoplie i trofea łowcze, z długim po środku stołem dębowym, dawała się z łatwością poznać, że była salą, w której się odbywały uczty rycerskie. Sufit jej podpierały kolumny równie jak ściany przyozdobione i zaopatrzone w kandelabry, które do spółki ze zwisającymi od pułapu dwoma olbrzymiemi pajakami zalewały ją potokami światła, gdy w kandelabrach i pajakach gorzały nocną porą świece woskowe. Obecnie przez szereg okien dostawało się do niej światło słoneczne, że się zaś słońce ku zachodowi już miało a okna z zewnątrz osłaniały gęste kraty żelazne, panował więc w niej półmrok, w którym postać hrabianki przesunęła się i przez jedne z sześciorga drzwi wyszła do komnaty przyległej, mniej szej i jaśniejszej. Nie zatrzymała się w niej jednak, poszła dalej i minawszy jeszcze pokój jeden,

w którym nie spotkała nikogo, otworzyła drzwi do komnaty, zajętej przez dwie poci niewieściej osoby, siedzące jedna obok drugiej na sofie pod oknem. Weszła i z lekkiego zdziwienia akcentem w głosie, odezwała się:

— O?... same?...

Damy zajęte były rozmową. Z nich jedna, na zapytanie hrabianki, oczy na nią podniosła i odpowiedziała:

— Dziwi cię to?... Godzina ta jest porą spoczynku...

— Nie nastał jeszcze zmrok zupełny — zauważyła.

— Opuściłyśmy damy te wcześniej trochę dlatego, żeśmy ze sobą do pomówienia miały...

— Zawadzam więc może — rzekła i cofnęła się w intencji opuszczenia komnaty.

— Zostań — odezwała się tonem uprzejmym druga dama. — Materya, w której rozmowę ja i matka twoja toczy my, obchodzi i ciebie, moje dziecko i twój w niej udział zbytecznym zgoła nie będzie... przeciwnie...

Ta, co słowa powyższe wyrzekła, była to hrabina Zrińska, małżonka Mikołaja, stryjenka Heleny, niewiasta w sile wieku, poważna, nieco otyła i nacechowana na obliczu wyrazem dobroci ujmującej. Wyraz ten zastępował piękność, której jej natura nie udzieliła. W latach młodych być musiała hołą i pełną, czemu przyświadczały rysy oblicza jej regularne, ale pospolite i różniące się od rysów, zaznaczających oblicze bratowej, uderzające niepospolitością. Ta, piękną niegdyś była i lata nie starły z niej śladów, przebijających się w postaci całej. Jeszcze by za piękną uchodzić mogła. Córka ją przypominała luboć niezupełnie, zwłaszcza zaś co do wyrazu, jaki z oczu jej i z czoła bił, wyrazu, który cecho-

wała ambicya. Postrzegać się on dawał od pierwszego oka ruchu i wzbudzał w ludziach pewien rodzaj obawy, trzymającej w oddaleniu tych, co ją otaczali. Szanowano ją, ale się do niej, tak jak do Mikołajowej nie garnięto.

Na wezwanie hrabiny Mikołajowej hrabianka zwróciła na matkę wejrzenie pytające.

— Zostań — powtórzyła hrabina Piotrowa.

— Usiądź tu... przy nas... — odezwała się stryjenka, wskazując oczami stołki rozstawione przed tamburkami, krosienkami i stoliczkami do robótek, któremi komnata w głębi zastawioną była.

Helena przysunęła sobie jeden ze stołków i zabierała miejsce pomiędzy stryjenką a matką.

— Matka twoja — zaczęła hrabina Mikołajowa — na stryja twego mocno się gniewa... Ma mu za złe, że urzędów się zrzekł..

— Jakże się nie gniewać za to! — rzuciła hrabina Piotrowa.

— Co do mnie, postanowienie to hrabiego przyjęłam, jeżeli mam prawdę całą wyznać, z radością... Gdy przypomnę sobie te niepokoje, te trwogi, te smutki, jakie mnie trapiły wówczas, kiedy hrabia najprzód kapetaństwo, następnie baństwo sprawował, to rada temu jestem, że się to nareszcie skończyło... Bogu dzięki! — rzekła, dłonie i oczy w górę nieco wznosząc.

— Teraz jednak odparła hrabina Piotrowa — kiedy ten haniebny wasvarski pokój zawarty został, smutki i trwogi nie zagrażają żadne...

— Ja (za ten właśnie pokój haniebny, dzięki któremu hrabia od spraw się usunął, Bogu dziękuję... Pokój ów sprowadził spokój, który mi sprawił ulgę ogromną...

— Pokój ten był — odparła hrabina Piotrowa — racyą, dla której hrabia Mikołaj powinien był władzy z rąk nie wypuszczać... Sprowadził on bowiem, jak

powiadasz bratowo dostojna, spokój, ale nie powiadasz tego, że spowodował niezadowolenie ogólne. Narodowi brak kierownika... Hrabia się od kierownictwa w chwili najważniejszej usunął... Czy się to godził...

— Czyż się nie znajdzie nikt, co by go zastąpił?...

— I nad Zrińskich się wyniósł? — dokończyła hrabina Piotrowa.

Zapytanie to charakteryzowało ją i stanowiło różnicę, jaka zachodziła pomiędzy nią a męża jej bratową. Tej ostatniej nie uśmiechały się dostojności i zaszczyty, w stosunku do których hrabina Piotrowa była rękojmnią niejako pogodzenia dwóch rodzin kroackich od wieków spółzawodniczących. Frangopanówna z domu wyszła za Piotra Zrińskiego dlatego, ażeby tamę położyć procesom pomiędzy Zrińskimi a Frangopanami, które w spadku z ojca przechodziły na syna i doprowadzały nierzadko do zawichrzeń w kraju. Ręka jej stała się różczką oliwną w stosunkach pomiędzy dwoma temi rodami możnemi. Frangopanowie Zrińskim ustąpili pierwszeństwa. Hrabina o tem wiedziała i ceniła siebie odpowiednio do roli, jaką osoba jej odegrała. Frangopanówna wyszła za Zrińskiego nie na to, ażeby pędzić żywot sielankowy. Usunięcie się od spraw publicznych Mikołaja dotykało ją, usuwało bowiem w cień męża jej i zamykało go w szczupłej stosunkowo sferze piastowanego przezeń kapetaństwa seńskiego. Kapetan Seni znaczył wiele pod skrzydłem brata-bana; pod skrzydłem zaś bana innego stawał się kapetanem zwyczajnym i, co więcej, miał do stolca bańskiego drogę zagrodzoną. Bolało ją to i drażniło i z racyi tej do Mikołaja czuła żal wielki.

— Zrińscy upadli — mówiła — i kto wie czy się podniosą kiedy...

— Ale... a... — głową chwiejąc, tonem protestacyi odpowiedziała hrabina Mikołajowa.

— Cesarz nie będzie ich prosił, ażeby zająć raczyli stanowisko, którem wzgardzili...

— Hrabia nie wzgardził... Usunął się dlatego, że na stanowisku tem użytecznym być nie mógł ani krajowi, ani królowi swemu...

— W Wiedniu o tem myślał inaczej...

— Co myślał, czy my wemy?... Zresztą, stało się — dodała z akcentem zadowolenia wewnętrznego — co my na to poradzić możemy?...

— Kto wie, czy poradzić nie możemy! — odezwała się po chwili hrabina Piotrowa. — Będziemy mogły poradzić się przynajmniej i znaleźć drogę jaką do trafienia w Wiedniu do cesarza...

— Nie właściwiej by było zostawić to hrabiom? — odrzekła hrabina Mikołajowa.

— Zdarzają się położenia, w których mężowie sami występować nie mogą, zwłaszcza gdy chodzi o naprawienie błędu...

Wyraz ostatni wymówiła z naciskiem, który ze strony byłej banicy wywołał wejrzenie protestacyi dobrotliwej.

— Błędu — powtórzyła — tego bowiem jestem zdania, które podzielają wszyscy, że hrabia Mikołaj w rozdrażnieniu popełnił błąd, honorowi jego niewłaściwemu, bynajmniej, sprawie jednak publicznej tem szkodliwszy, że w trudnych teraźniejszych czasach nikt jej lepiej, niż on, służyć nie jest w stanie... Błędu tego ani on, ani brat jego naprawić nie może... Im o nim mówić nawet nie wypada... Nie pozwalają im na to ambicja, miłość własna, które nie kępią ani was, dostojna pani i bratowo, ani mnie... My mogłybyśmy sprawę poruszyć i wprowadzić ją na drogę, na której by ona sama już do mety doszła...

— Lękałabym się rękę do niej przykładąć...

— Przeszkadzać mi jednak nie macie powodu? — zapytała hrabina Piotrowa.

Hrabinę Mikołajową zapytanie to zmieszało. Nie

wiedziała co odpowiedzieć na nie, uciekła się przeto do zwyczajnego w razach podobnych wybiegu, do przyznania się do nieświadomości.

— Ja bo nie rozumiem właściwie — odparła — co zamierzacie i jaką w tem rolę pomoc lub przeszkoda moja odegrywać ma...

— Nie do mnie — odrzekła hrabina Piotrowa — należy starać się o prostowanie hrabiego Mikołaja ścieżek... Jeżeli postępek jego nazywam błędem, to dlatego, że tak mi przekonanie moje powiada; skarżę się, ale na skardze poprzestać muszę, nie mając prawa wypowiadać jej głośno... Jestem jednak matką i żoną, i jako taka, mam nietylko prawo, ale i obowiązek troszczyć się o losy dzieci moich, zależne od stanowiska ojca ich a męża mego... Zamierzam przeto poruszyć sprawę promocyi hrabiego Piotra...

— Jak skoro wam o to, dostojna bratowo — odrzekła z uradowaniem hrabina Mikołajowa — chodzi, nie wiem, czy się wam pomoc moja przyda na co, ale pomagać wam gotowa jestem z serca całego... Chcecie, ażeby dostojny małżonek wasz na bańską stolicę wszedł... i owszem... Najpierwsza z tego cieszyć się będę i dla dopięcia celu tego zrobię wszystko, czego odemnie zażądacie... Rozporządzajcie mną, hrabino...

— Dziękuję wam, bratowo dostojna — rzekła hrabina Piotrowa.

— Rozporządzajcie mną — powtórzyła. Ta powtórzyła podziękowanie.

— Szczerze wyznam, że gdyby się rzecz małżonka mego tyczyła, nie znaleźlibyście we mnie gotowości do pomocy tyle... Mnie się bardzo czekający nas spokój podoba; wzdygam do niego życie całe i z żywym upragnieniem wyglądam tej chwili, w której się on nareszcie naprawdę rozpocznie...

— Chwila ta niedaleka — wtrąciła hrabina Piotrowa.

— Dzieli nas od niej dwa tygodnie... i — dodała — wrzawa...

— Śród tej wrzawy właśnie postawić chcę na drodze, na którą sprawę małżonka mego wprowadzę, wytyczne... Z Węgier całych, z Krocacji, z Siedmiogrodu, ze Styryi, zjedzie się szlachta wysoka na pożegnanie bana... Stawiają się wszyscy Zrińskich przyjaciele... Pomiędzy nimi nie trudno będzie znaleźć grono ludzi, którzy domagać się zechcą, ażeby miejsce hrabiego Mikołaja zajął hrabia Piotr... Grono to spoić, wzmocnić i ku celowi wytkniętemu pchnąć: oto zadanie, w którego rozwiązaniu do pomocy wzywam cię, bratowo...

— Ani na chwilę nie wątp, że zrobię wszystko, co w mojej będzie mocy... Sprzyjam wam i dzieciom waszym z serca całego i — tu się do słuchającej w milczeniu hrabianki zwróciła — będzie mi miło, gdy synowica małżonka mego obok stolca bańskiego stanie... Podobałoby ci się to? — zapytała.

— Nie wiem, stryjenko — była odpowiedź dziewczyny.

— Jakżebyś wiedzieć nie miała!...

— Nie myślałam jeszcze o tem...

— Do tego nie potrzeba myślenia długiego...

Czy nie podobałoby ci się, gdyby o tobie mówiono, żeś córka bana?

— Gdyby banem był ojciec mój, to zawsze baństwo jego byłoby dodatkiem, któryby się mnie nie tyczył, chyba dodatkowo... Bardziej mi się podoba to, żeś córką człowieka, co ojczyźnie prawdą i ramieniem służy... Możeby mu w tem baństwo przeszkadzało...

— Nie konieczniś do rady dobra — odezwała się matka. — Im wyższem jest zajmowane stanowisko, tem większe człowiek oddać może ojczyźnie usługi...

Hrabianka zamilkła, pomimo, że miała coś matce

do odpowiedzenia. Hrabina jednak nie nadawała się do dyskusowania z dziećmi własnymi. Córce odrzekła i nie zważając już na nią, do hrabiny Mikołajowej się zwróciła.

— Przybędzie tedy Wesseleni, przyjedzie Nadasdy, Nagy, baron Tottenbach... Z każdym z nich pomówić można...

— Z baronem szczególnie — wtrąciła hrabina Mikołajowa.

— Toekeli... Rakoczi...

— Rakoczi za młody — zauważyła.

— Ale księżna wdowa ma u dworu zachowanie wielkie i nie wątpię, że — z ukosa okiem na córkę rzuciła — wpływów swoich na rzecz hrabiego Piotra nie pożałuje...

— Zapewne...

— Liczę oraz — ciągnęła hrabina — na osobistość jedną, która, nie zajmując stanowiska wysokiego, posiada jednak przydać się mogące stosunki...

— Którą? — zapytała hrabina Mikołajowa.

Hrabina Piotrowa z przymusem niejakim, z półwykrztuszeniem wymówiła nazwisko:

— Mikołaj Erdödi...

— O?... Ależ on? — zaczęła.

— Zalicza się do grona tych, co Zrińskim nie sprzyjają — podchwyciła. — Niesprzyjania tego wszak że racya tyczyła się rzeczy, która nie istnieje już oddawna...

— Jam bo nigdy dobrze powodu nieprzyjaźni tej nie rozumiała...

— Uhm — mruknęła hrabina Piotrowa, uśmiechnęła się i dłonią zlekka machnęła. — O tem dziś i wspominać nie warto... Erdödi niegdyś wzdychał do mnie; lecz... jam za mąż wyszła, on się ożenił i żal jego do Zrińskich nie ma już racyi najmniejszej...

— Nie wiedziałam o tem...

— Nie była to bowiem rzecz głośna... Hrabia Piotr o spótzawodnikach innych wiedział, o Erdödim nie wiedział i nie rozumiał zrazu powodu, dla którego się on do partyi przeciwnej przerzucił... Dziś są to historye przestarzałe, mające znaczenie wspomnień, na których przyjaźń budować można...

— W kraju — zauważyła hrabina Mikołajowa — Erdödi miru nie posiada... z Niemcami trzyma...

— I dlatego właśnie mir posiada w Wiedniu...

— Jemu... podobno... przewodzi żona...

Na uwagę tę hrabina Piotrowa odpowiedziała gestem, który wyrażał lekceważenie i domyslać się kazał, że przewodnictwo to zneutralizować się da przewodnictwem innym, donioślejszem i skuteczniejszym. Gest ten, po polsku przetłómaczony, znaczył: „Wiedzą sąsiedzi, jak kto siedzi”. Erdödi mieszkał od Czakowca bardzo blisko, w Warasdynie, gdzie pełnił funkcyę kapetana, i jako sąsiad, bywał, pomimo różnic, jakie go od Zrińskich dzieliły, częstym w zamku czakowackim gościem. Nie bywać zresztą nie mógł. Póki hrabia Mikołaj był banem, na zamek często sprowadzały go obowiązki służbowe, w pełnieniu których spotykała go ze strony gospodarstwa gościnność, nie czyniąca różnicy pomiędzy tymi, co w progi zamkowe wstępowali. Hrabina Piotrowa przeto, dzięki stosunkom kapetana warasdyńskiego z byłym banem, jako też dzięki tym wspomnieniom, które się do jego kawalerskich i jej panińskich czasów odnosiły, miała prawo niejakię na życzliwość, jeżeli nie czynną, to przynajmniej bierną dawnego swego wielbiciela liczyć. Ztąd to poszło skinienie lekceważące, gdy hrabina Mikołajowa o przewodnictwie hrabiny Erdödi wspomniała.

— Nieprzyjaźń jego — mówiła — jeżeli kiedy pozory racyi miała, to pozory te oddawna istnieć przestały... Czas je zniszczył... Co zaś do hrabiny Erdödi: cóżby ona miała za przyczynę okazywać nie-

przyjaźń hrabiemu Piotrowi?... Raczej by mu sprzyjać powinna...

Hrabina Mikołajowa ścisnęła ramionami na znak, że się w kwestyi tej niekompetentną uznaje. Następnie materyę rozmowy zmieniła.

— Kiedy się — zapytała — markiza spodziewacie?...

— Przyjazd swój zapowiedział w przyszłym tygodniu...

— Z Trsata mu droga daleka i trudna...

— Byle jeno pogoda sprzyjała...

— Na niepogodę się nie zanosì, Bogu dzięki... A zresztą, oboje młodzi, to chociażby w podróży przykrości doznali, zniosą ją łatwiej aniżeli gdyby byli w wieku późnym... Odpoczną raz w Ozalii, drugi raz w Zagrzebiu...

— Dla markizy to pierwsza w kraju naszym podróż...

— Pierwsza — odpowiedziała hrabina Piotrowa.

— Rzecz ciekawa, jak się jej po Wenecyi miasteczka i miasta kroackie wydadzą?...

— Mniej więcej tak, jak wydały się wam, dostojna bratowo, po Wiedniu...

— Ja Niemka, ona Włoszka... Ja baronka Löbl, ona księżniczka Nari...

Powiedziała to półżartem, stosując powiedzenie to do Julii, z domu księżniczki Nari, która przed niedawnym czasem zawarła związek małżeński z markizem Franciszkiem Frangopano, rodzonym hrabiny Anny Katarzyny Zrińskiej, Piotra małżonki, bratem. Z rodziny, do której księżniczka weszła, nie wszyscy ją znali. Nie znała jej hrabina Zofia Mikołajowa; nie znała wujenki hrabianka. Ztąd wzmianka o niej wzbudziła w tej ostatniej ciekawość, której wyrazem stał się wykrzyknik, brzmiący jak następuje:

— O! gdybyż im nic z miejsca ruszyć nie przeszkodziło!...

— Przeszkodziłoby im mogło jedno chyba — odparła hrabina Zofia.

— Co, stryjenko?...

— Ciekawaś... co?... — odpowiedziała hrabina tonem żartobliwym. — Zaspokoisz ciekawość swoją, gdy sama za mąż wyjdiesz.

Na słowa te hrabianka spłonila się i nie pytała już więcej; hrabina Zofia zaś hrabiny Piotrowej zapytała:

— Czy markiza była w Wiedniu kiedy?

— Nigdy...

— Piękna, słyszę, i rozumna... o, onaby Piotrowi grunt w Wiedniu przysposobić mogła.

Słowa te, od niechcenia wyrzeczone, hrabinę Piotrową zafrapowały mocno. Oczy jej zaświeciły.

— O... — zaczęła.

Zamilkła jednak, w chwili tej bowiem służba weszła ze świecznikami, potrzebnymi z powodu zupełnego, jaki w komnacie zapanował, zmroku. Służba świeczniki rozstawiwszy, cofnęła się; komnata napętniać się poczęła. Po dwie, po trzy wchodziły panie i panny i zajmowały miejsca przy krosnach, tamburkach i stolikach. Był to hrabiny Zofii dwór niewieści, składający się, jak w Polsce po dworach panów wielkich, z córek rodu szlacheckiego. W sposób ten magnaci skarbili sobie wśród *plemierzów* stronników, których liczba świadczyła o potędze i decydowała o wpływach magnata.

IV.

W Wiedniu.

Rozmowa pomiędzy hrabiną Zofią a hrabiną Anną Katarzyną, luboć w sobie nic oficjalnego nie mia-

ła, luboć nosiła na sobie charakter prostej pomiędzy dwiema bratowemi gawędki wieczornej, potraciła jednak o Wiedeń—o Wiedeń oficjalny—o ów Wiedeń, co posiadał tajemnice swoje szczególne i swoje ognisko.

Wiedeń oficjalny ogniskował w sobie w momencie owym syn niewesołej pamięci Ferdynanda III, Leopold I.

W Leopoldzie I, gdyby go kto przypadkiem spotkał i nie wiedział, że głowę jego zdobi koron kilka, nikt by się nie domyślił — monarchy. Postawa jego nie miała w sobie monarszego nic: ani powagi, ani okazałości, ani tego nawet wdzięku pospolitego, jakiego natura śmiertelnikom rzadko kiedy odmawia. Natura, zdaje się, wysiliła się na wydanie człowieka, w którym każdy z rysów oblicza przedstawiał się w karykaturze, całość zaś stanowiła naigrawanie się z twierdzenia, że człowiek stworzony jest na obraz i podobieństwo boskie. Nie wiadomo przeto na czyj obraz i na czyje podobieństwo stworzonym był Leopold I. Uważać go chyba należy za unikat w rodzaju swoim; na tronie zaś stał się unikatem w momencie, w którym z jednej strony sąsiadował z takim, jak Ludwik XIV — „królem słońcem”, z drugiej z takim, jak Jan Sobieski, człowiekiem pięknym i wspaniałym. W nieodznaczającym się wdziękami rodzie Habsburgów nawet, on odznaczał się brzydota niezrównaną. Twarz pokoszlawioną i powyginaną charakteryzowała szczególnie charakterystyczna rodu oznaka—warga dolna, która u tego potomka Karola V, przybrała rozmiary ogromne i obwisała tak, że mu zakrywała większą brody połowę. Ogólny wyraz oblicza cechowała senliwość, senliwość pozorna, w duszy bowiem monarchy tego kipiały namiętności, przejawiające się pod postacią zawiści i nienawiści. I on miał siebie, jak Ludwik XIV, za „króla słońce” i słoneczność swoją praktykował przy pomocy jezuitów,

podpowiadających mu, co ma czynić, ażeby się blask onej nie przyćmił.

Zrzeczenie się dostojęństw przez Mikołaja Zrińskiego zastanowiło cesarza, biegłego w astrologii, alchemii, muzyce i teologii.

— Co to znaczy?...

Radził się gwiazd — gwiazdy mu nie udzieliły odpowiedzi żadnej; szukał w tyglach rozwiązania zagadki — tygle zagadki nie rozwiązały; kazał sobie grać i przy dźwiękach muzyki dumał, dumał tak długo, póki mu na myśl nie przyszło wypowiadać się u ojca Müllera. Wypowiadał się, mszy wysłuchał, ciało i krew Pańską przykładnie spożył i wezwał ojca Müllera do gabinetu, zaopatrzonego w klęcznik, krucyfiks, stołki, dywany, kobierce na podłodze, firanki w oknach, obrazy poświęcane na ścianach i stoły z przyborami do pisania. Ojciec Müller, człek siwy i suchy, wszedł z głową schyloną i dłońmi na pierśsiach złożonemi. Wszedł, kroków kilka od progu postąpił i w postawie pokornej stanął.

— Zbliż się, ojczcie wielbny... — odezwał się cesarz.

Spowiednik jeszcze kroków kilka uczynił i bardziej jeszcze się nachylił.

— Powiadasz więc... — zaczął Leopold I.

— Powiadam, najjaśniejszy panie, że władza daną ci jest od Pana dla utwierdzania i pomnażania chwały Pańskiej...

— A zatem...

— Kto władzę twoję zapoznaje, gwałci wolę Pana...

— Zrini przeto...

— Zapoznał władzę twoję, zrzekając się nadanego mu przez ciebie stanowiska... Dopuszcł się nie dającego się usprawiedliwić zuchwalstwa...

— Gdybyśmy o celu, w jakim to uczynił, wiedzieli...

— Nie może być czystym zamiar z zuchwalstwem względem nadanej ci od Boga władzy połączony...

Po chwili milczenia dodał:

— Święta teologia uczy, że się grzeszy myślą, mową i uczynkiem... Uczynek zdradza mowę, mowa myśl... Jakże zbrodniczą musi być myśl, która się wyraziła uczynkiem zuchwalstwem...

— Zbrodnicza myśl... — rzekł cesarz sam do siebie.

Nastąpiła chwila milczenia. Leopoldowi wargą dolną ruszała się jakby co w ustach przeżuwał. Po chwili odezwał się:

— Zuchwalstwo, nieposłuszeństwo, bunt płyną ze źródła jednego... tak?...—zapytał.

— Tak, najjaśniejszy panie...

— Zrini więc winien buntu w intencji?...

— Winien, najjaśniejszy panie...

— Jest tą owcą parszywą, którą z trzody wyrzucić, tym członkiem jadłem zarażonym, który, wedle pisma, odciąć należy?...

— Jest owcą parszywą, jest członkiem zarażonym, najjaśniejszy panie...

— Grzeszy?...

— Pychą... Władą nim szatan ten sam, w którego władaniu znajdował się Jerzy Zrini, wróg kościoła i Boga...

Cesarz głowę schylił, oczy przymrużył i w zamyslenie się pogrążył. Ojciec Müller przez ten czas, zawsze w postawie pokory głębokiej, mówił:

— Graf Mikołaj, spadkobierca Jerzego, odziedziczył po nim majątki i wraz z nimi środki nieczyste... Nie obraca środków tych na chwałę Bożą... Czynią go one możliwym i wpływowym, a tem szkodliwszym, że się osłania pozorami, zawracającemi umysły gminu... Przyświeca złudną marą patryotyzmu, podkopującego wyrok Boży, który dla ziemi wy-

znacza jednego pasterza i jedną owczarnię. Zriniady każde niemal słowo jest złem ziarnem, które chwasty wyda... Występując przeciwko sługom twoim wier-
nym, występuje przeciwko tobie, najjaśniejszy panie, dzierżącemu władzę od Boga... Pamflet na hrabiego Montekukulego jest dziełem wyszłem z podszeptu szatana...

Cesarz słuchał. W chwili tej oczy podniósł, na ojca Müllera spojrzął i rzekł:

— Kodeksy...

— Kodeksy, najjaśniejszy panie, pisane przez ludzi, zajmują się jeno stroną zewnętrzną, nie wcho-
dząc w istotę duchową zbrodni, nie są więc wystar-
czające w razach pewnych... Święta Inkwizycja ko-
deksów się nie radziła; że zaś do niej uciekać się
obecnie, dzięki przewadze złego, nie wypada, więc
pomazaniem bożym należy posługiwać się wszelakie-
mi sposobami, jakie Bóg, władze im dając, w rękę
ich złożył...

— Owce parszywą wyrzucić... członek jadem
zarażony odciąć... — bąknął cesarz, na ojca Müllera
patrząc.

Ojciec jezuita oczy zamknął i głowę pochylił.

— Sądzić i ukarać...—rzekł Leopold I.

— Szatan jest zręczny i przebiegły... — odparł
ojciec Müller. Sady służą dla niego do naigrawania
się z władzy przez Boga postanowionej, zwłaszcza —
dodał—sady świeckie... Sąd, rzecz po ludzku jeno
biorąc, na hrabi Zrinim winy nie znajdzie... Bóg
zbrodniarzy takich piorunem karze, a jeżeli ramię
swoje powstrzymuje, to dla tego, ażeby zastąpiło je
ramię, któremu On władzy swojej udzielić raczył...

— Czyż się my — zapytał cesarz — omylić nie
możemy?

— Możesz, najjaśniejszy panie, alo jako czło-
wiek, nie zaś jako pomazaniec Boży... Gdy podda-
nego twego życia pozbawiasz, odsyłasz go od trybu-

nału swego do trybunału Sędziego Najwyższego, który winowajcę uniewinnić może, ale nie może cię pociągać do odpowiedzialności za to, żeś się omylił... Władza twoja ziemską z Boga idzie i tu, na ziemi, gdy zwłaszcza ściga zamachy i intencje przeciwko kościołowi świętemu, gdy chwasty wyrывa i ziarna złe niszczy, nieomylną jest... Omyłki twoje tu — dodał z gięstem oratorskim, prostując się — Bóg sprostuje tam...

Rzekłszy to, znów się pokornie pochylił.

Cesarz, pomilczawszy i pomyślawszy przez chwilę, dał ręką ojcu Müllerowi znak, że się oddalić może i dodał:

— Niech do nas przyjdzie baron Hoher...

Baron Hoher pełnił funkcję najwyższego kanclerza nadwornego, należał do składu rady przybożnej cesarza i posiadał zaufanie jego.

Rada przybożna radziła, nie nad tem atoli co, ale nad tem jak zrobić. Odwoływał się do niej cesarz tak w sprawach porządkowych, jakoteż w politycznych, w tych ostatnich jednak zasięgał pierwiej zdania spowiednika swego, który nie był doradcą jedynym, ale raczej inspiratorem poufnym. Co on radził, to znajdowało poparcie ze strony kilku innych jeszcze osobistości, noszących habity zakonne, a mianowicie: jezuity Menegatti, kapucyna Sinelli, franciszkanina Spinola. Przez nich natchniony, radcom świeckim zadanie dawał i rozwiązywać je nakazywał. W materyach jednak natury delikatnej do rady się nie odwoływał zgoła: wzywał do siebie którego z dostojników wysokich i objawiał mu wolę swoją. We względzie tym dwór wiedeński trzymał się ściśle wzorów Filipa II i był ogniskiem tajemnic stanu, których depozytariusze, głębocy a ostrożni, całe usiłowanie swoje wkładali w to, ażeby zadość uczynić woli monarszej, którą często nawet odgadywać musieli. Zauszników, w pospolitem wyrazu tego znaczeniu, przy

Leopoldzie I nie było. Otaczali osobę jego mężowie stanu; ci piastowali tajemnice stanu, odnoszące się do nich bądź zbiorowo, bądź też osobiście. Jedne znali wszyscy, co do składu rady wchodzili; inne znane były wyłącznie dostojnikowi, którego cesarz na depozytariusza i na wykonawcę wybrał.

Wybór tym razem padł na barona Hochera.

Ojciec Müller, otrzymawszy rozkaz wezwania barona, począł się, nie zmieniając pozycji w półzgiętej, w jakiej był wszedł, z komnaty cesarskiej wycofać. Cofał się tyłem tak długo, póki się nie przesunął przez ciężką drzwi osłaniającą portierę. Za portierą dopiero wyprostował się, drzwi sobie otworzył i, przeszedłszy pomiędzy dwoma gwardzistami cesarskimi, którzy, niby dwa posągi, przy drzwiach na warcie stali, poszedł dalej, postępując z cicha i krzyż dłonią sobie naciskając, jak czynić zwykł człowiek doznający bólu w okolicach kości pancerzowej. Przechodził mimo posterunków, czuwających w pobliżu gabinetu cesarskiego, mimo ludzi, co w oznakach funkcyj, jakie pełnili, w gotowości na pierwsze monarchy zawołanie stali. Ci mu się kłaniali i w rękę go całowali, a on nad głowami ich krzyżyki palcem w powietrzu kreślił. Z szambelanów jeden do niego przemówił:

— Na krzyże, ojcze wielbny cierpisz...

— Starość. Lata, które na grzbiecie dźwigam, na krzyżu mi ciążą... Cierpieć przestanę, gdy się do trumny położę...

— Dajże, Boże — zawołał dworak — żeby to nastąpiło jaknajpóźniej!..

— Nastąpi to, kiedy mnie Bóg do siebie z ziemi powoła..

— Bóg nie zechce chyba powoływać prędko kapłana, który, jak ty, ojcze wielbny, z takim pożytkiem na ziemi mu służyysz...

— Wola Jego... wola Jego... — odpowiedział

jezuita i oddalił się od szambelana, odprowadzającego go okiem, w wyrazie którego nie świeciło tylko co wypowiedziane życzenie.

Po odejściu spowiednika Leopold I z siedzenia się podniósł, do klęcznika podszedł, na kolana się osunął, przeżegnał się i, dłonie złożywszy, w modlitwie utonął. Modlił się myślą, podnosząc od czasu do czasu oczy na zawieszony nad klęcznikiem wizerunek rozpiętego na krzyżu Chrystusa, a w oczach jego świecił wyraz pokory i skruchy głębokiej. W kruszeniu się tem mocarza przed tym, co cierniową koronę nosił i męczeństwem dla ludzkości drogę nową otworzył, było coś poruszającego. Zachodził tu kontrast, który się odbijał jeszcze i na obliczu cesarza. Oblicze to skrucha wykrzywiała i łamała, nadając onemu wyraz politowanie wzbudzający. Brzydota zmieniała się w potworność, która się przedstawiała, jakby piętno, wyciśnięte celem podania istoty ludzkiej na urągowisko, jakby krzywdą przez naturę w swawoli człowiekowi wyrządzona.

Cesarz modlił się — wstał i, na dywanie usiadłszy, jął pod nosem szeptać modlitwę, czy też mówić sam do siebie. Był to wówczas człowiek młody, nie liczący więcej, niż lat dwadzieścia cztery. Niestety, młodość nie kwitła na jego twarzy, nie grała w jego duszy. Zwarzyła ją przedwcześnie ta krzywda, jaką mu natura wyrządziła. Minowała go zazdrość. Zazdrościł bliźnim świeżości, kształtów, kraszy, której nie posiadał, a zazdrościł tem mocniej i tem bardziej, że bliźni owi byli to poddani jego — poddani, którzy nie tylko podobniejsi aniżeli on do ludzi byli, ale odważali się inaczej, aniżeli on, pan ich i władca im pozwala, myśleć. „Giąć karki hardel!” — wydawało się mu, że na tem jego zadanie monarsze polega.

— „Giąć karki hardel!” — szeptał mu głos wewnętrzny, a głosowi temu wtórowali jednogłośnie

ci wszyscy, pod których kierownictwo sumienie swoje oddał.

Cesarz niedługo na nadejście kanclerza czekał. Szambelan służbowy przez wpół uchyloną portyerę zameldował i baron w pończochach i trzewikach, w odzieży kolan sięgającej i z przodu szamerowaniem wąskim ozdobionej, we fryzurze, której pukle na ramiona i plecy mu spadały, z kapeluszem pod pachą wszedł i od progu wpółzgięty naprzód się ku cesarzowi posuwał. Doszedłszy na odległość, dopuszczającą wymiany wyrazów, zatrzymał się, lecz się nie prostował. W postawie jego wobec cesarza a w postawie ojca Müllera różnica zachodziła ta jeno, że ojciec ręce na piersiach złożone trzymał, on zaś je wzdłuż ciała wyciągnął. Na piersiach bieleły się mu sute fontazie haftowane od krawatu, na rękach mankiety; na nogach kamieniami drogiemi połyskiwały klamry złote. Zatrzymał się i na przemówienie cesarza czekał.

Leopold I namyslał się. Wreszcie zapytanie rzucił:

— Jakie z Kroacyi wiadomości?

— Wojska waszej cesarskiej mości poobsadzały grody i przyczyniają się do utrzymywania porządku i spokoju, wedle twego, najjaśniejszy panie, najmiłościwszego rozkazania...

— Dowodzi tam?...

— Graf Herberstein...

— Usposobienie narodu?...

— Nienajlepsze, najjaśniejszy panie...

— Z powodu?...

— Podania się bana do dymisji...

— Czy zaszły nowe wypadki jakie?...

— Zgromadzania się po miastach plemiczów, którzy hałasują czynią...

— O co?—zapytał cesarz.

— Zawsze, jakiem miał już zaszczyt donieść

poprzednio waszej cesarskiej mości, o pokój waswasarski, z którym łączą dymisyę bana...

— Nakazaliśmy tłómaczyć, że dymisyi tej ban winien...

— Nakaz ten depeszą cyfrowaną rozesłany został wszystkim komendantom w Kroacyi i na Pomorzu...

— I cóż?

— Wedle raportów sądząc, nie widać, ażeby on wywierał skutek pożądanym...

— Czemu?...

— Dlatego, jak przypuszczać należy, że jest zanadto świeży i nie miał jeszcze czasu do umysłów przeniknąć...

— Dlatego — odrzekł cesarz — że wpływ Zrinich wpływowi rozkazu naszego na przeszkodzie stoi...

Poprawiony w ten sposób kanclerz, głowę na znak uznania pochylił.

— Jakże się oni zachowują?

— Milcząco, najjaśniejszy panie... Raporta we względzie tym nie podają żadnej wskazówki pozytywnej...

— Nie urządzają zjazdów? Nie podróżują?...

— Graf Piotr na wesele księcia Frangopana do Wenecyi z grafinią jeździł, bawił na zamku trsackim, bawił następnie na zamku ozalijskim, do Czakowca w końcu pojechał i obecnie tam przebywa.

— A graf Mikołaj?

— Z Czakowca się nie ruszał...

— Dogląda go tam?...

— Graf Mikołaj Erdödi.

— Erdödi głowa ciasna, a przytem pomiędzy nim a Zrinimi stosunki są naprężone...

— Jest z nim grafinia...

— A... — odezwał się cesarz z akcentem uznania. — Więc i jakże?

— Graf Mikołaj w bibliotece swojej pracuje...

— Pamflet nowy przeciwko tobie może, baronie, pisze—odrzekł cesarz akcentem przekąsu.

— Najjaśniejszy panie, silny przywiązaniem bezgranicznem do tronu i do świętej osoby waszej cesarskiej mości, ze spokojem zniosę ciosy, jakieby na mnie spadły...

— O tem nie wątpimy zgoła, ale też nie życzymy sobie, ażeby na wierne sługi nasze ciosy spadały...

— Łaskawość i miłościwość waszej cesarskiej mości tak są wielkie, że słów na podziękowanie mi brak...

— Nie słyhać, czy czego Zriniowie nie zamierzają?—zapytał cesarz, podziękowanie kanclerza mimo uszów puszczając.

— Nie słyhać, najjaśniejszy panie... przynajmniej: nie zamierzają nic ważnego...

— A nieważnego?

— Graf Mikołaj rozesłał zaprosiny na ucztę i biesiadę do zamku czakowackiego.

— Hm?—mruknął cesarz—ucztę i biesiadę...

— Nie obejdzie się bez łowów zapewne — dodał ban.

— Bez łowów się nie obejdzie... uhm... — i po chwili, jakby sam do siebie mówił, bąknął:—Graf Mikołaj Zrini ukrywa zamiary występne...

Wyrzekłszy słowa te, na barona z wyrazem zapytania w oczach spojrział.

— Najjaśniejszy panie!—odrzekł baron.

— Stanowiska wysokiego i władzy nie rzuca się dla niczego...

Zamilkł i po chwili dalej ciągnął:

— Dostojny przodek nasz, Karol V, tronu się zrzekł dla ciszy klasztornej, modlitwy i przygotowania się na drogę wieczności. Graf pójść mógł za tym przykładem świetnym i wzniosłym, że zaś nie

poszedł, ale przeciwnie, oddaje się pracy podejrzanej i uciechom świeckim, że względem nas zuchwalstwo okazał, niewątpliwie przeto, jeżeli już nie knowa, to się z knowaniem przeciwko nam w głębi myśli swoich nosi...

— Niewątpliwie — potwierdził kanclerz, odpowiadając na wejście, jakie na niego cesarz zwrócił.

— Więc... złe, jakoby ztąd wyniknąć mogło, uprzedzić należy, usuwając tego, co być musi sprawcą onego... Rozumiesz, baronie?

— Rozumiem, najjaśniejszy paniel—odrzekł kanclerz głosem, w głębi którego słyszeć się dawało lekkie drżenie.

— To dobrze... Nie wiesz—zapytał po chwili—kto z magnatów przybędzie w gościnę na zamek do Czakowca?...

Kanclerz, w celu zapewne usposobienia cesarza dla hrabiego Mikołaja łaskawie, wymieniać zaczął osobistości, na których nie ciążyło podejrzenie żadne; wymieniał następnie jawnych i wyraźnych tronu stronników. Cesarza jednak to niezadowolniało. Dopytywał się o innych tak, że przyciśnięty w końcu do muru niejako baron, wymienił:

— Arcybiskup Lippay...

Cesarz brwi ściągnął.

— Księżę Rakoczy.

— O...—cesarz na to.

— Hrabia Wesseleni...

Cesarz się nie odezwał.

— Hrabia Nadašdy...

— Ten prędzej później wpadnie w ołchłań...

— Tökeli.

— Tökeli jest na miejscu swoim „na radzie, gdzie się schadzają grzesznicy...”

— Hrabia Piotr Zrini...

— To brat...

— Księżę Franciszek Frangopano.

— Kto więcej?...

— Gdy dodam jeszcze barona Tottenbacha, to już będą, najjaśniejszy panie, wszyscy, o których raporty zawiadomiły... Jeżeli nazwisko jakie z pamięci mi wypadło, wasza cesarska mość wybaczyć mi wspomniałomyslnie raczy...

— Bylebyś sprawił, ażeby z pamięci rychło wypadło nazwisko grafa Mikołaja Zriniego...

— Wola waszej cesarskiej mości spełnioną zostanie...

Nastąpiło milczenie dłuższe nieco, które przerwał cesarz:

— Odejść możesz, baronie! Oby Najwyższy czuwał nad tobą...

Kancelarz się do ziemi pochylił, uginając kolano prawe, cofać się tyłem zaczął i nie wyprostował się, aż portyera zasłoniła przed oczami jego widok osoby cesarskiej. Drzwi sobie otworzył, przeszedł pomiędzy dwoma stojącymi na warcie żołnierzami i mijał posterunki służby dworskiej. Idąc, kulał zlekka, krzywił się i za krzyż się trzymał. Na spotkanie jego wychodzili rozmaitego rodzaju urzędnicy, którzy mu niskie składali pokłony. Dalej nieco wysypali się paziowie, młode chłopcy; z pomiędzy nich jeden wujem go zwał. Ten ostatni zadał mu zapytanie:

— Chory jesteś wuju?

— Nigdy zdrowszy nie byłem...

— Czemuż się skrzywił i za krzyż się trzymasz?

— Krzyż mnie trochę boli.

— Starość... lata... co?...

— Nie, mój kochany... Lata mnie tak bardzo nie przygniatają jeszcze, ale...

Nie dokończył. Zresztą tłómaczyć nie potrzebował racyi bólu w krzyżach pażiom, którzy do służby wprawiani, doznawali bolesnych wyprowadzania kości pacierzowej z położenia normalnego następstw.

Gimnastyka jednak tego rodzaju wynagradza się sobie.

Cesarz po odejściu kanclerza znów się do klęcznika udał i znów się do Boga modlitwą zwrócił.

W czasie, kiedy się ten następca cesarów rzymskich modlił, w dali odezwały się tony muzyki, które do komnaty wpływały łagodne i rzewne i dźwięczały w sposób taki, jakby je echa niosły. Cesarz na klęczkach oczy podniósł i wsłuchiwał się. Tony płynęły—melodya do duszy wprost się wlewająca, uderzała o słuch falami akordów, które zmieniały się, przemijały i znów wracały, z siłą raz słabnącą i końającą niby, znów wzmagającą się w potęgę rozkoszy eterycznej. Oblicze monarchy wypogodniało; rysy onego rozjaśnił półuśmiech, który je uszlachetnił i wyrazem łagodności upiękniał. Widać było, że człowiek ten brzydki odczuwał w sercu każde drgnięcie tonów i duszą się na nich kładł—i na falach ich się kołysał—i z niemi w dal płynął. Klęczał, o pulpit się ręką oparł i słuchał—słuchał. Słuchał wówczas jeszcze, kiedy muzyka ucichła. Tony w nim, w całym jestestwie jego grały.

Leopold I-szy był szczególnym muzyki miłośnikiem.

Powszechnem jest zdanie, że muzyka łagodzi. Nie sprawdzało się to na nim. Łagodniał dla muzyki tylko—dla niej topniał; pod wpływem jej atoli nie przekreślił wyroku śmierci ani jednego. Tkliwym był dla siebie; czuł rozkosz własną; ale nie odczuwał cierpień tych bliźnich, którzy poddanymi jego byli.

V.

Księżna Julia.

W Czakowcu spodziewany gości zjazd liczny sprawił ruch niezwykły. Do zamku, jakby mu obłę-

żenie zagrażało, zwożono siana, obroki i prowizye. Fury obładowane wjeżdżały, opróżnione odjeżdżały. Napełniano zsypy i zasieki, spichrze i piwnice, reparowano piece, przyrządzano kuchnie. Służba się szykowała. Z zamków, które do Zrińskich należały, przybywali hajducy i pajucy i dla dodawania blasku wystąpieniom—huzarzy. Dobosze, trębacze i piszczałnicy sprawiali wrzawę, wprawiając się w wygrywanie na dzień dobry i na dobranoc. Sprowadzona aż z Petersburga banda cygańska, próbowała instrumentów i przeciwiała się w sztukach do tańców. Sprowadzeni aż z Wenecyi harflarze i pieśniarze spobili się do zbierania aplauzów i dukatów. Słowem, zamek rozbrzmiewał przygotowaniami rodzaju wszelakiego, odbywającemi się pod dozorem marszałka dworu, przy udziale służby licznej, a za rozkazem grafa Mikołaja, który chciał, ażeby usunięcie się jego od spraw publicznych zaznaczyło się honeste.

— Niech będzie w bród wszystkiego — zalecał.

Zalecenie to nie było może myśli ukrytej, w zakres polityczny wkraczającej pozbawione. Wedle przysłowia polskiego: „czapką, papką i solą, ludzie ludzi niewolą.” W gronie ludzi, mających do zamku napłynąć, spodziewani byli i goście z za Karpat—goście tacy właśnie, co wieści roznoszą i za wieściami chodzą. Szlachta z Węgier północnych pozostawała w stosunkach ze szlachtą polską; na dworach panów węgierskich i polskich, mających siebie za upoważnionych do prowadzenia na rękę własną polityki potentatów, przebywali rezydenci świeccy lub duchowni, którzy sprawowali funkcję posłów zwyczajnych i nadzwyczajnych, stałych i czasowych. Posłowie tego rodzaju nie opuszczali dworów panów znaczniejszych po tej i po tamtej stronie Karpat, i jeżeli następstw nie sprowadzali innych, to wieści nosili. Zaniesienie przeto o dostatkach i hojności Zrińskich do

Polski wieści, odpowiadało może widokom grafa Miłojaja.

Z gości najpierwszymi, co do zamku zawitali, byli: młodzi księstwo, czyli markizostwo Franciszko-stwo Frangopano. Tytuł markizom Frangopanom nadawały posiadłości włoskie. Podróż wypadła im pomyslnie, luboć nie bez znużenia, które szczególnie uczuć się dało młodej księżnie, przywykłej do przenoszenia się z miejsca na miejsce w lektyce lub gondoli. Góry przejeżdżać musiała konno. Bawiło ją to i nużyło, mimo że jej na wygodach podróży nie zbywało. Landara, w której przyjechała, była komnatą przenośną — mieszkało się w niej niby w chałupie, na noclegach zaś, gdy takowe wypadały w miejscowościach pozbawionych przygotowanego dla wędrowców pomieszczenia, rozpinano namiot, pod którym młoda pani spędzała noc rozkosznie. Dłuższe w Ozalii i Zagrzebiu przestanki nie miało się do zachowania w czerstwości sił przyczyniły. Mimo to wszystko księżna, gdy z pojazdu u wnijsia do zamku w Czakowcu wysiadła, przedstawiała postacią swoją powój, który przeżył szturm burzy, co go biła i targała deszczem i wichrami.

A powój sobą przypominała ona. Słuszna, włoska, wydawała się rośliną delikatną, przebraną za niewiastę i przybraną w uroki niezwykle. Wyglądała jakby zmięta — co jej wdzięków nie ujmowało zgoła; przeciwnie, uwagę na niej tem mocniej zatrzymywało. Krewnym, powinowatym i domownikom, co na spotkanie jej wybiegli, przedstawiła się z włosiem w lekkim nieładzie, splecionym w warkocz, który się z pod siatki jedwabnej wydostał i przez ramie grubym, czarnym splotem na piersi spływał. Uderzało to od pierwszego rzutu oka. Buntowniczy ów warkocz był niejako przewodnikiem, czy ukazicielem tak postaci całej, jako też onej części składowych, których analiza poszczegółowa odbywała się w umyśle widza z szyb-

kością błyskawiczną i wytwarzała zachwyt. Analiza ta wykazała: oczy czarne palące, czoło jasne, rysy oblicza jakby skreślone dłonią powietrzną i omalowane pędzlem z promienia, kształty postaci jakby wytoczone z pianki stwardniałej. Młoda księżna była zachwycająco piękna. Hrabiów Mikołaja i Piotra, hrabiny, Zofię i Annę Katarzynę, hrabiankę, hrabiów młodych widok jej w osłupienie niemal chwilowe wprowadził. Każdy i każda doznali w odniesieniu do niej spółczucia, które jest ofiarności rodzicem i do składania hołdów podnieca. Małżonka Franciszka Frangopano jawiła się im, jako przedstawicielka tego „piękna odwiecznego,” dla którego ludzie walki dziejowe staczali i krew hojnie leli. Wrażenie, jakie ona wywarła, tem było silniejsze, że postać jej stała wobec wychowawców muz: hrabia Mikołaj i hrabia Piotr, jako też księżę małżonek jej, byli to—poeci. Poeci i rycerze. Wiek paladynów przeminął już wprawdzie; nie przemijał jednak urok wdzięków niewieścich, oddziaływających szczególnie na poetów.

Oslupienie krótko trwało. Wyszedł z niego najpierwszy gospodarz domu. Hrabia Mikołaj złożył księżnej pokłon i przemówił do niej temi słowy:

— Witaj w progach domu mego, markizo do stojna... Szczęśliwym się czuję, oglądając oblicze twoje...

Słowa te głosiły prawdę szczerą. Księżna odpowiedziała na nie nśmiechem czarującym, i hrabiemu w oczy patrząc, głosem, w głębi którego śpiewność włoska brzmiała, odrzekła:

— Witaj, hrabio! Ziszcza się wreszcie gorące pragnienie moje oglądania człowieka, którego sława świat napęlnia... Dumą mnie to napęlnia, że człowiek taki jest powinowatym moim:

Hrabia skłonił się w milczeniu i ustąpił miejsca innym, co się do niej z powitaniem garnęli. Z kolei przystąpił hrabia Piotr, po nim hrabiowie

młodszy, wreszcie hrabiny i hrabianka. Hrabia Piotr przedstawiał jej tych i te, których ona nie знаła. Witła wszystkich uprzejmie i łaskawie i przy powitaniu hrabianki, dłoń jej w dłoniach swoich zatrzymała dłużej nieco i z wyrazem zadowolenia w oczach, w oczy jej patrzała.

— Brataneczka moja taką jest, jaką ją wyobrażałam sobie—odezwała się.—Postacią swoją ujmy nie czyni ani ojcu, ani matce... Życzę ci męża tak pięknego, jak piękną sama jesteś...

Hrabianka na podziękowanie wujence w ramię ją pocałowała; obecni uśmiechali się i po wyrazów parę rzucali; z obecnych jeden tylko sposepniał, ale nikt na posepność jego nie zważał; był to bowiem ów żołnierz młody, co na szczycie o wili opowiadał. Wciśnięty w tłum domowników stał, przypatrywał się i słuchał. I życzenie usłyszawszy, sposepniał.

Powitania odbywały się na ganku zamkowym, zakończyły się i po zakończeniu goście i gospodarstwo do wnętrza zamku weszli. Ponieważ przybycie księstwa oznajmił kurier, na przyjęcie ich przeto wszystko się znajdowało w pogotowiu. Po podróży należał się im przedewszystkiem posiłek. Gospodarstwo wprowadzili ich do komnaty oddzielnej, w której na kominie gorzał ogień suty, a po środku stał stół nakryty. Powitania powtórzyły się w gronie rodzinnem z przypuszczeniem do onego tylko — z osób obcych — księdza Marka dla pobłogosławienia jada, które dla podróżnych przysposobiono. Przedewszystkiem wystąpiła na stół polewka winna, korzeniami i jajami zaprawna, wniesiona w wazie srebrnej, z której hrabina Zofia czerpała ją i wlewała do kubków wyłaczanych. Księżna pokosztowała jeno. Książę do dna wypił. Nastąpił gulasz. Gdy z naczynia, w którym danie to wniesiono, zdjęto nakrywą, rozszła się w powietrzu woń, apetyt budząca. Apetyt

jednak pięknej pani trzymany był na uwięzi. Znow tylko pokoszowała.

— Dostojna powinowata łaską nas swoją nie zaszczyca... — odezwała się gospodyni domu z akcentem żalu w głosie.—Nie smakuje jej jadło nasze.

— Żona moja—odrzekł markiz żartobliwie—żywi się wonią i rosą kwiatów...

— Nie zawadziłoby pożywienie bardziej nieco substancyjonalne...—wtrącił hr. Mikołaj.

— O, ja jadła nie odpycham!—odparła markiza—w chwili tej jednak... pociągu nie czuję.

Koszowała atoli. Że zaś dań zmieniło się dużo, więc gdy każdego skosztowała, posiliła się dostatecznie. Na rachunek posiłku poszły rzeczy takie, jak skrzydełko kurczęcia w paprykaszu, połowa pierśi bażanta pieczonego, ułamek pasztetu ze zwierzyny i parę jeszcze specyałów kuchni węgierskiej. Nie tknęła jeno wieprzowiny z kapustą, ale to jej krzywdy nie sprawiło, tembardziej, że wypila tokaju wytrawnego kieliszek spory i spożyła wetów trochę. Przy jedzeniu toczyła się o podróży rozmowa. Markiz opowiadał w sposób humorystyczny o wypadkach, jakie się zdarzyły i wskutek opowiadania jego zapanowała wesołość, która się rozwinęła bardziej jeszcze przy kominie, gdy towarzystwo obsiadło w półkole ognisko, palące się płomieniem szerokim i wonnym. Franciszkowi pomagał w płodzeniu dowcipów blizki krewny jego, Orfeusz Frangopano, który markizostwu towarzyszył i osobą swoją przedstawiał typ kawalera włoskiego. Czas upływał miło. Panie do łez się śmiały i wesołość ogólna byłaby zapewne do końca dotrwała, gdyby usposobienia tego nie zamąciło powiedzenie jedno. Ktoś wspomniał o gościach spodziewanych.

— Szkoda, że się ich nie doczekamy... — odezwał się markiz.

— A to?...—zapytał ze zdziwieniem hrabia Mikołaj.

— Wypoczniemy u was dni parę i pojedziemy do Wiednia...

— Zkąd-że ci się wzięło to postanowienie nagle?...

— Z powietrza się nie zwało...

— Wezwanie?...

— Formalne... Nadeszło na wyjezdne tak, że czasu nie było zawiadomić i uprzedzić was o tem. Jego cesarska mość za złe mi bierze, żem mu wnet po zawarciu ślubów małżeńskich homagium nie złożył... Z tem, jak wiecie, śpieszyć się trzeba...

— Różnica parutygodniowa stanowi niewiele...— odezwiała się hrabina Mikołajowa.

— Dla nas, ale nie dla sfer wysokich, wobec których ze zwłoki tłómaczyć się potrzeba.

— Tłómaczenie takie proste... — odrzekła hrabina.

— Jakie?...—zapytał markiz.

— Odpowiesz: U powinowatego w gościnie bawiłem...

— Mnie zaś po odpowiedzi tej zadadzą pytanie: „I dla gościny zaniedbałeś dopełnienia względem cesarza i króla powinności?..” Na punkcie tym w Wiedniu panuje drażliwość ogromna...

Hrabia Mikołaj brwi zmarszczył i dodał:

— Drażliwość przez ojców Müllerów uprawiana...

— Właśnie też... Ba, gdyby nie to!... Pozostajemy pod dozorem ścisłym a podejrzliwym.

— I brzydkim... — wtrącił Orfeusz Frangopano.

— Nie odzywaj się z tem głośno...—ostrzegł go hrabia Piotr półzartem.

— Jesteśmy tu przecie sami swoi...—odparł kawaler Orfeusz.—Chyba, że tu ściany mają uszy...

— Uszy ścian zamku czakowackiego, jeżeli co słyszą, to wiadomości wszelkie dla siebie zachowują. Nieme są... Ale jest ktoś, co posiada słuch bystry, z Wiednia do kończyn krajów monarchii sięgający i obdarzon jest ustami, które szepcą...

— Obdarzon jest oraz ramionami, które ciosy z tyłu zadają...—dorzucił markiz!

Markiza głos zabrała:

— To, co o Wiedniu słyszę, jest w stanie odważniejszą, aniżeli ja, istotę przerazić...

— Przesada...—pochwyciła hrabina Piotrowa—wszystko to, bratowo droga, przesada... Nie przerażaj się. Na dworze panuje etykieta surowa, mimo to jednak cesarz łaskawym być umie... Zresztą, czyżby niełaskawym być mógł, gdy mu się taka, jak was dwoje, para przedstawi?...

Wszyscy prawdę słów ostatnich jednogłośnie uznali.

— Hołd piękności składają Jezuiti nawet... — odezwał się hrabia Mikołaj.

W dalszym ciągu rozmowy pokazało się, że wezwanie do Wiednia markiza Frangopana pod pozorem, jakoby cesarz domagał się od małżeństwa młodego homagium, ma na celu powierzenie mu czynności politycznej w Wenecyi. Był to domysł wprawdzie, lecz domysł, opierający się na danych, tyczących się stosunków państwowych. Sprawami politycznymi w rządy weneckiej zawiadywały rody, z którymi księżna blisko spokrewnioną lub spowinowaconą była. Pokrewieństwa węzły potęgowała piękność, której dyplomaci wytrawni nie wypuszczają z rachunków. Młodego cesarza otaczali najwytrawniejsi, jak sobie jeno wyobrazić można, działacze dyplomatyczni—działacze, których specyalność polegała na głębokiej serc ludzkich i słabość takowych znajomości. Serca ludzkie i piękność niewieścia: cóż to za materiał pyszny do budowania gmachów politycznych!

Materyał ten, zanim przypuszczalne onego zużytkowanie nastąpić mogło w Wiedniu, zużytkowanym został na miejscu—w Czakowcu.

Nad tem, że księstwo Franciszkostwo nie mogą w zamku na zjazd gości czekać i zjazdowi obecnością swoją blasku dodać, ubolewali wszyscy z wyjątkiem hrabiny Piotrowej. Hrabina milczała. Na obliczu jej czytać się dawało zamyślenie, w które się pogrążała od czasu do czasu i które uwagę jej odrywało od rozmowy ogólnej, toczącej się przy kominie. Rozmowa znów ton humorystyczny przybrała. Kawaler Orfeusz dowcipami strzelał. Śmiano się. Ona jedna w śmiechu udziału nie brała, głowę spuściła i z pod oka to na bratową, to znów na córkę spoglądała.

Posiedzenie przy kominie zajęło wieczór cały i byłoby się zapewne przeciągnęło w noc, gdyby hrabina Mikołajowa nie przypomniała sobie, że jako gospodyni domu, troszczyć się powinna nietylko o nakarmienie gości, ale także o dostarczenie im po trudach podróży spoczynku. Przypomniała sobie o tem w porę — około godziny dziewiątej i, korzystając z chwilowej w gawędce przerwy, wystąpiła z oznajmieniem:

— Dobrze nam tu, ale dostojnej księżnej lepiej będzie w pościeli... Podróżnym spoczynek się należy...

Oznajmienie to znalazło poparcie najprzód hrabiego Mikołaja, następnie wszystkich. Sprzeciwiała się onemu tylko księżna Julia.

— Znużoną się nadzwyczajnie nie czuję...—rzekła. — Gdybym jednak jak najmocniej znużoną była, to tak mi tu dobrze i wesoło, iżbym o potrzebie spoczynku zapomniała...

— Mnie atoli o niej zapominać nie wolno... — odparła hrabina Zofia.

W chwilę później pojawiła się służba ze świe-

cznikami i gospodarstwo rozprawdzać zaczęło gości po przeznaczonych dla nich komnatach gościnnych. Z mężczyznami odeszli mężczyźni; księżnej towarzyszyły panie: hrabiny obie i hrabianka. Doprowadziły ją do komnaty, zaopatrzonej we wszystko, co do wygod należy. Szerokie łóże osłaniała pościel cieniuchna, odbijająca białością śnieżystą od karmazynowych kotar, przyozdobionych frendzlami i kutasami złocistemi. Barwa kołdry harmonizowała z barwą osłon zewnętrznych. Materace i poduszki napełniały puchy edredońskie, sprężyste a delikatne. Podłogę okrywał kobierzec miękki.

— Czy nie brak tu czego?... — zapytała hrabina Zofia i, obejrzawszy komnatę i łóże, znów zapytała:—Czy ci na czem zbywać nie będzie, księżno dostojna?...

— Na niczem... na niczem... — zapewniała zapytana.

— Wybaczysz mi, gdybyś braku jakiego doznała?...

— Hrabino droga!...—odrzekła księżna.

— Wybacz i... dobranoc ci...

Nastąpiły uściski. Ostatnia księżnej dobranoc oddała hrabina Anna Katarzyna, która na odchodnem zamówiła się do niej na najpierwszy dzień dobry.

— Spodziewam się—słowa jej—że cię w łóżku jeszcze zastanę...

— Wstajecie tu rano?—zagabnęła księżna.

— Na cóż to pytanie!...—odparła hrabina Zofia.

— Chciałabym się do zwyczajów domu zastosować...

— Stosować się będziemy do zwyczajów twoich, gościu drogim! Śpij, jak długo powieki sen ci sklejać będzie, gdy się zaś obudzisz, spoczywaj... wynagrodź sobie trudy, których doznałaś i przysposób się do trudów, jakie na ciebie czekają...

— O obudzeniu się swoim jutro daj mi przez kameryerę znać—dodała hrabina Piotrowa.

Księżna pozostała z kameryerą i wnet siebie rozbierać kazała. Zgrabna Włoszka ręką wprawną rozpinając i zdejmowała z niej różne części odzieży, ogałając ją z obłon zewnętrznych i odsłaniała jej kształty, których pod takowemi domyślać się jeno można było. Dzięki czynności tej piękna pani stanęła na chwilę jako posąg grecki. Chwila ta krótko trwała. Posagowe jej kształty zniknęły pod drapeżą bielizny nocnej, w której księżna usiadła przed zwierciadłem i przy blasku świec jarzących przypatrywała się odbiciu postaci własnej. Kameryera przez ten czas włosy jej na noc układała — czesała, splatała, zwijała i czekała na zagajenie tej rozmowy, jaka się zazwyczaj przy okazji podobnej toczy. Rozmowa zawiązać się musiała i zawiązała się.

— Więc jakże, Francesko?...—zapytała księżna od niechcenia.

— Nic nowego, ani osobliwego...—odpowiedziała kameryera.

— Widziałas dwór niewieści hrabiny?

— Widziałam, jasna pani.

— I cóż?..

— Piękności pospolite, przypominające te, co na placu św. Marka kwiaty i owoce sprzedają...

— A hrabianka?

— Piękna, nie piękniejsza jednak od ciebie...

— Niewiasty piękniejsze znajdują się w Wiedniu...

— Nie przypuszczam...

— Na pewne... Tylem o Wiedenkach słyszała!...

— Niemki, Słowianki, Węgierki: nie sposób,

ażeby pomiędzy niemi znaleźć się mogła piękność od najpiękniejszej z Włoszek piękniejsza...

— A jeżeli się znajdzie...—odezwała się księżna z akcentem, który zlekka odbrzmiewał troską.

— Byłby to chyba cud. Gdyby jednak cud podobny zdarzył się, toćby świat o nim wiedział...

Pochlebstwo to przyjęła księżna, jak rzecz słusznie jej należną. Kameryera jej włosy ułożyła i księżna, uzupełniwszy toaletę nocną, osunęła się przed obrazem Matki Bożej na kolana. Modlitwa nie zabrała czasu dużo. Po modlitwie w komnacie zapanowała cisza — w jednym z kątów gorzała lampka nocna, a za kotarami z pośrodku puchów i bielizny haftowanej wyglądała głowa niewieścia, która wśród tych puchów i bielizny tworzyła obrazek zachwycający. Obrazek ów, snem znieruchomiony i przez nikogo nieoglądany, pozostawał do rana. Promienie słoneczne wywarły na niego wpływ drażniący. Powieki się rozwarły, ramię się nad głowę podniosło, usta ziewnięcie wydały, dzwonek odezwał się dźwiękiem srebrzystym i przy łożu stanęła Franczeska.

Księżna się w obecności kameryery wyciągnęła.

— Ach!...—przeciągle wydarło się z jej piersi, z której się osunęły obszyny.

— Jasnej pani spało się?... — zapytała Franczeska.

— Dosyć dobrze...

— Śniło się?...

— A... O sny mnie nie pytaj... O, sny mojej!...

— Założyłabym się, że za tło służył im dwór cesarski...

— Może...—odrzekła księżna z uśmiechem.

— Hrabina Piotrowa—zaczęła kameryera—poleciała mi, ażebym jej znać dała, skoro się jasna pani obudzi.

— Ano!... byłabym o tem zapomniata... Przyprzątnij-że tu nieco i poproś hrabinę.

Przyprzątnięcie tyczyło się szczególnie osoby pięknej pani. Franczeska włosy jej i okrycie ułożyła w sposób taki, ażeby piękność jej uwydatniała się tem dokładniej, do łóżka krzesła przysunęła, odeszła i po odejściu jej niebawem do komnaty wkroczyła hrabina.

— Dzień dobry ci, bratowo droga...

— Dzień dobry, hrabino kochana...

— Zażyłaś spoczynku pod dachem naszym?

— Zupełnego a rozkosznego...—odrzekła księżna.

— Uzupełniajże go, mnie zaś pozwól przy sobie usiąść i widokiem twoim oczy karmiąc, pomówić z tobą o rzeczach, co mi na sercu leżą...

— Proszę ciebie, proszę...—odezwała się księżna wpół się z pościeli wychylając i gestem na krzesło wskazując.

— Uprzedzam cię, że nie będą to rzeczy zabawne, że zatem nie... zainteresują ciebie...

— Jakżeby to, co ci na sercu leży interesować mnie nie miało!...

— Sprawy... kłopoty pospolite... — rzekła hrabina.

— Żeby jak najpospolitsze!...

— Tyczące się rodziny naszej...

— Czyż ja do rodziny nie należę?... —

— To też to jedno ośmiela mnie do mówienia z tobą, bratowo dostojna.

— Mów, mów, słucham...—zachęcała księżna.

— Zacznę od oświadczenia ci — zaczęła hrabina — że mnie wiadomość o rychłym twoim do Wiednia odjeździe uradowała... Wszystkich ona zasmuciła... Zasmuciłabym się była i ja, gdyby nie to, że widok twój natchnął mi myśl powierzenia ci dwóch, losy hrabiego, moje i dzieci naszych obchodzących, spraw...

— Bylebym się jeno przydać mogła... — odparła księżna z gestem, oznaczającym gotowość słuchania.

— Dla mnie to wątpliwości nie podlega. Stworzoną jesteś do rozkazywania i nie znajdzie się chyba w Wiedniu nikt, ktoby życzeniom twoim zadość uczynić nie usiłował...

— O cóż chodzi?...—zapytała młoda kobieta.

— Chodzi o naprawienie popełnionego przez hrabiego Mikołaja błędu...

Hrabina wyłożyła rzecz ze szczegółami i zakończyła wykład propozycją formalną kołatania w Wiedniu o godność bana dla hrabiego Piotra.

— Czyż ja tego dokażę?... — zawołała księżna.

— Nikt łatwiej, jak ty, bratowo droga. Sprawa ta oprze się o ciebie sama, bądź więc jeno przygotowana na popieranie jej życzeniem mojem...

— Ależ — odparła — popierać ją będę jak najgorliwiej...

— Druga zaś sprawa—zaczęła hrabina—nasunąć ci się może przypadkowo... Tyczy się ona związku małżeńskiego pomiędzy naszą Heleną a młodym Rakoczym...

— A?...—odezwała się księżna.

— Zamiarowi temu, tajemnicą jeszcze osłoniętemu, dwór, Rakoczym niechętny i do Zrinich zniechęcony, z pewnością opierać się będzie... Sprawę tę powierzam ci, bratowo dostojna, w takim tylko razie, gdyby tajemnica na jaw wyszła... Inaczej... nie dotykaj jej...

— O jakżebym rada spełnić należycie polecenia twoje, hrabino!—zawołała księżna.

— Zechciej jeno...

— O! zechcę, chcę, pragnę: hrabiego banem zamianować, Helenę zamaż wydać... Gdy dwóch tych rzeczy dokażę, zacznę mieć o sobie wyobrażenie wysokie...

Wychyliła się z łóżka półciąłem. Hrabina się podniosła. Dwie panie spoił na chwilę uścisk serdeczny.

VI.

Przysposabianie gruntu.

Księstwo, czyli markizostwo Frangopano, na pojutrze po przybyciu swoim Czakowac opuścić mieli. Zabawili więc dzień jeden cały. W dniu tym hrabia Mikołaj, który uległ czarowi, jaki wywierała księżna na wszystkich, wysiłał się na wynajdywanie dla niej rozrywek. Przed południem wystąpiła załoga zamkowa, pieszcacy i jazda, i odbywała ćwiczenia na wygonie w odzieży nowej, w uzbrojeniu od słońca pożytkującym. Widowisko powiodło się świetnie. Huzary, którzy zachodzili w masie i rozsypką, wywiązali się z zadania ku zadowoleniu powszechnemu. Pandury nie mniej na pochwałę zasłużyli. Hrabia przedstawiał księżnej starszyznę, z której każdego pochwalił; gdy zaś kolej na jednego z oficerów młodych nadeszła, nazwał go:

— Stefan Jowanowicz...—i dodał:—O nim niech waszej książęcej mości Piotr rozpowie, ten bowiem pod jego służył rozkazami...

Hrabia Piotr podchwycił:

— O nim byłoby do rozpowiadania nie mało, dość jednak będzie, gdy następujące przytoczę zdarzenie.. Służył razem z ojcem swoim, walecznym Wukiem Jowanowiczem, który sztandar nosił. W boju Wukowi Turcy sztandar wraz z życiem wydarli, Stefan im go odebrał i po odebraniu ojcu oddał posługę ostatnią.

— Dzielny... dzielny wojak... — rzekła księżna i wszyscy za nią słowa te chórem powtórzyli.

Hrabianka przypatrywała się oficerowi młodemu, przypominając sobie, że on jej o wili na szczycie baszty prawił. Nie wypadało jej pochwalić powtórzyć—mleczła, wejrzeniem atoli podkreślała wyrazy, które jej stryjowie i wujowie, stryjenki wujenki powtarzały.

— Dzielny wojak... — w duchu sobie mówiła i dodała:—Dlatego może, że głos Wili słyszał...

Do obiadu w sali rycerskiej podanego zasiadło grono liczne, złożone nie z domowników wyłącznie, oprócz bowiem gości z Trsatu znajdowało się osób kilka z sąsiedztwa, między innemi hrabiostwo Erdödi. Hrabina dzieliła z księżną miejsce pierwsze. Dwie te damy zajmowały siedzenia naczelne; obok jednej siedziała hrabina Anna Katarzyna, obok drugiej hrabina Zofia, dalej mężczyźni wedle starszeństwa po jednej i niewiasty po drugiej stołu stronie. Hrabianka się ku szaremu końcowi usunęła tak, że siedzenie jej naprzeciwko młodego oficera wypadło. Pozdrowiała go uśmiechem uprzejmym i przez czas obiadu spoglądała na niego często. Byłaby go może zaczęła i rozmowę z nim zawiązała, ale rozmawianie możliwem jeno było z siedzącymi obok sąsiadkami z powodu muzyki, która z galeryi przygrywała. Dlatego i przy końcu stołu poczesnym zabawiano się nie tyle rozmową, co jadłem. Księżna zamieniła z hrabiną Erdödi kilka zaledwie frazesów ogólnikowych, do których treści dostarczyła pogoda; hrabina zaś Anna Katarzyna uprzejmość szczególną okazywała hrabiemu Erdödi, co, jak się zdaje, hrabinę małżonkę jego drażniło nieco. Rozdrażnienie zdradzały spojrzenia niby sztylety, wysuwane z uśmiechów, jak z pochwy, i ciskane zukosa w stronę, w której hrabina Anna Katarzyna toczyła głuszoną przez muzykę z kapetanem Warazdynu rozmowę.

Muzyka ucichła, gdy nadeszła pora na wznoszenie toastów.

Toasty rozpoczął gospodarz domu i wznosił dwa jeden po drugim: pierwszy *pro rege nostro!* drugi za zdrowie księżny Franciszkowej Frangopano. Za pierwszym obecni wstali, jednogłośnie wiwat! krzyknęli, na podwórzu trzykrotnie moździerz huknął, muzyka przygrywką się odezwała i — na tem koniec. Przemowa hrabiego była krótka i uroczysta — ta sama, którą zwykle przy okazjach podobnych wygłaszał. Wyuczył się i powtarzał. Gdy jednak przyszła kolej na drugą, wymowa jego przystroiła się w kwiaty retoryki, strzeliła porównaniami i metaforami, przywołała na pomoc mitologię i Iliadę, odwołała się do światectwa historii i zaznaczyła się tem, że dostojny mówca mylił się, zamiast „księżna Julia,” mówił „Aspazyja” i zamiast „Aspazyja” — „księżna Julia.” Z omyłek tych tłómaczył się. Miał, jak powiadał, głowę nabitą Peryklosem i temi przysługami, jakie mu oddawała niewiasta, która, acz nie z Aten rodem, była natchnieniem męża, co Aten wielkość i sławę podniósł. W sposób ten i w księcia ugodził, przyrównywując go pośrednio do Peryklesa. Mowa ta sprawiła wrażenie wielkie. Słuchacze i słuchaczki przerywali ją kilkakrotnie i, kiedy do spełnienia kielicha przyszło, sprawili wrzawę, zagłuszającą muzykę i moździerz. Gdy wrzawa ucichła, wnet jeden z gości, niejaki Franciszek Bukowacki, człek dużej dłoni, odważnego serca, niespokojnego umysłu, ale wielkiego do rodu Zrińskich przywiązania, z miejsca się głosem donośnym odezwał:

— Zaprawdę... w czasach tych Peryklesa nam potrzeba...

W ciągu mowy hrabia Mikołaj wyraził żal z powodu, że księstwo obecnością swoją nie uświetnią zjazdu gości spodziewanych. Z racji tej hrabia Erdödi zapytał hrabiny Anny Katarzyny:

- Odjeżdżają więc nieodwołalnie?
- Odjeżdżają...—odpowiedziała.
- Rychło?...
- Jutro...
- O?... Rzeczy się osobliwie zbiegły i ja bowiem odjeżdżam jutro.
- Dokąd?—zapytała hrabina.
- W tę samą drogę... do Wiednia...
- Nie słyszeliśmy o zamiarze twoim, hrabio...
- Ja sam o nim nie wiedziałem wczoraj jeszcze...
- Więc cię powołano chyba?...
- Ze względów służbowych...—odrzekł.
- Co za szkoda! — odparła. — Będzie cię nam brakło w gronie gości, gdy ci się zjadą...
- Brak osoby mojej przykrości nie sprawi...
- Nie powiadaj tego, hrabio!—odrzekła hrabina Anna Katarzyna.—Nie powiadaj tego...—powtórzyła z naciskiem. — Niechęci do ciebie nie było nigdy i, co się mnie tyczy, jesteś gościem zawsze mile widzianym i pożądanym...
- Dziękuję wam, najłaskawsza pani... — odpowiedział hrabia.
- Dlatego też — ciągnęła — nieobecność twoja przykrość mi sprawi...
- Nieobecność moja—podchwycił—potrwa, o ile wnioskować mogę, nie długo... Goście nie zjadą się, jak za dni kilka...
- Za tydzień...—wtrąciła.
- I zabawią dni kilka...
- Zapewne...
- O... więc powrócę, jak się zdaje, nie przypuszczam bowiem, ażeby pobyt mój w Wiedniu przeciągnąć się miał nad dni parę...
- Braterstwo moi będą mieli miłego w podróży towarzysza...
- Niestety—odparł.—Podróż moja i podróż ich

złać się w jedno nie mogą... Pojadę szybko, a tem szybciej, że chcąc wezwaniu łaskawemu hrabiego Mikołaja na ucztę dzisiejszą zadość uczynić, zwlóknem wyjazd o dzień jeden. Sztafeta nadeszła wczoraj i dziś powinienem być w podróży już być... Kazałem na drodze konie rozstawić, jak wiatr popędzę...

Rozmowę tę przerwał toast, wniesiony przez markiza. Markiz pił zdrowie gospodarstwa domu i w przemowie, jaką wygłosił, odpowiadał hrabiemu Mikołajowi w imieniu markizy i we własnem. Za temat postużył mu Perykles, stronę ludu trzymający i praw jego broniący. Odwracał przyrównanie do niego od osoby swojej.

— Cóż ja? — prawił — cóż ja? Co ja dla ludu zrobić mogę? Dać mu pieśni kilka, nic więcej. Ludowi innych, aniżeli ja, mężów potrzeba, mężów, co epopeje piszą i tworzą, co w osobie jednej łączą przymioty Homera i Agamemnona, nie potrzebując się odwoływać do rad Nestora... Takich ludowi mężów potrzeba... Korona świętego Szczepana męża takiego posiada. Oto on! — zawołał, na hrabiego Mikołaja z gestem oratorskim palcem wskazując.

Przy ruchu tym wszyscy naraz jeden za stołem powstali. Muzyka zabrzmiała, moździerze huknęły, wiwaty się odezwały — ucieszyła się i hrabina Anna Katarzyna, do hrabiego Erdödiego mowę zwracając, półgłosem zapytała:

— Nie prawda, że hrabia Mikołaj wielki popełnił błąd, baństwa się zrzekając?

— Uhm... tak... zapewne... — odpowiedział. — Kto wie atoli... Błędy niekiedy popełniają się umyślnie, w celu dopięcia zamiaru pewnego...

— Jakiż zamiar mieć może człowiek, co się w księgach zagrzebał?...

— Nie wiem... uhm?... Pokaże się to później...

— Na „później” lata czekać potrzeba, a z latami człowiek w układy wchodzić nie może... We-

dług mnie, hrabia popełnił błąd wielki, a tem większy, że od spraw się usuwając, nie postarał się o to, ażeby stolicę bańską zajął ktoś, co by go zastąpić mógł...

— Któżby go zastąpić mógł? — zapytał hrabia Erdödi.

Oczy hrabiny zamigotały, jak się to zdarzać zwykło ludziom, gdy mają wyrzec słowo, o którym niepewni są, jak przez słuchaczy przyjętem zostanie.

— Któż-by — odpowiedziała.

— Zastąpićby go mógł chyba hrabia Piotr...

— Nie wiem — odrzekła i z pośpiechem dodała: — Ktokolwiek jednak, pomyśleć o tem należało...

Po chwilce zapytała:

— Czy myślisz, że hrabia Piotr zadaniu by odpowiedział?...

— Czemu nie?... Czasy teraz nastały takie, że się zadanie bańskie ułatwiło...

— Ale się utrudnić może...

— Może... Z tem wszystkiem jednak... hrabia Piotr... uhm?... podołałby w razach trudnych nawet... To głowa...

— Hrabia tak myślisz?

— O... tak... To rzecz wątpliwości niepodlegająca...

— Z wielu ust słyszałam zdanie to o mężu moim...

— Taką jest opinia powszechna...

— Której atoli nie uwzględnia kamera.

— To zależy, najlaskawsza pani... W Wiedniu decyduje nieraz jedno przez kogoś w porę wymówione słówko...

— O... — zaczęła hrabina, lecz niedokończyła.

W myśli jej strzeliło obligowanie Erdödiego

o wymawianie na rzecz hrabiego Piotra słówek, powstrzymała się jednak. Serce jej żywszem w piersi ruszyło tentnem. Obawa ją przejęła. Lękała się pośpiechem zbytnim sprawę popsuć, odłożyła więc rzecz tę na później tembardziej, że na razie uważała za wystarczające to, iż pozyskała bratową. Pozyskanie bratowej pociągało za sobą pozyskanie brata. Sprawa więc, w mniemaniu jej, znajdowała się na drodze dobrej. Od Erdödiego dowiedziała się, że znajdzie ona poparcie opinii powszechnej, której się kapetan Warazdynu nie sprzeciwia. Wystarczyło to na tymczasem i dlatego rada była, że toast przez Bukowackiego na cześć hrabiego Piotra wniesiony rozmowę dalszą przerwał. Toast ów i jej się tyczył, Bukowacki bowiem pił zdrowie nie tylko jej męża i jej, ale także syna ich Jana Antoniego, córki Heleny i córki Aurelii, nie liczącej wówczas lat więcej, jak pięć. Gdy o córkach prawił, na Helenie się zatrzymał i wodze fantazyi oratorskiej popuścił. Materyału miał obficie, a znalazł go w przyrównaniu hrabianki do nimfy, nie starożytnej atoli, ale tej, co mieszka w górach i lasach ojczystych—do wili.

— Dostojna panna jest — mówił — wilą naszą, która znaczy więcej, aniżeli nimfa jaka starożytna... Tamte się opiekowały źródłami, drzewami, kamieniami, jedne się z satyrami przedrzeźniały, drugie za Dyana się włoczyły... Nasza czuwa nad krainą całą, pieśnią nas pociesza, junakom męztwa dodaje... Kiedy pannę najdostojniejszą na koniu widział, wydało się mi, jakbym oglądał Palladę w osobie jej własnej... *A terem tiszén!* — zaklął. — Gdyby taka skinęła jeno na mnie, ażebym sam jeden skoczył na tysiąc Turków albo szwabów, byłbym *terem tiszén!* psem, gdybym nie skoczył... Wznoszę więc i piję—tu puhar do góry podniósł — zdrowie grafa, zdrowie grafki, zdrowie grafiąt wszystkich, a pomiędzy niemi wili naszej!... Vivant!...

Gromko i ochoczo na toast ten odpowiedziano, pomimo, że w przemówieniu Bukowackiego zabrzmiała nuta obrażająca przekonania hrabiostwa Erdödi. Nuta owa dzwoniła na pohybel szwabom; oni zaś się ze szwabami przyjaźnili. Wiedzano o tem i skłonność tę przypisywano hrabinie. Ona jednak obrazy po sobie nie okazała — przeciwnie, do hrabianki się uśmiechnęła i przyjaźnie ku niej głową skinęła.

Nastąpiły potem toasty inne i wraz z niemi przyszedł moment, w którym damy już przy stole pozostawać nie mogły. Hrabina Mikołajowa dała haśle, wstając i z hrabiną Erdödi pod ramię wynosząc się do komnaty bawialnej, z której podwoje otwierały się na okolumnadowany, na ogród wyprowadzający balkon. Czyste, świeże powietrze jesienne wpływało przez pootwierane drzwi i okna, wabiąc na przedstawiające się w splątaniu piaskiem i żwirem wysypane ulice i aleje, które to się ukazywały, to znikwały po za krzewami i drzewami, trawnikami i kłębami. Po drzewach, krzewach i trawnikach przeszedł podmuch jesieni. Mieniły się one barwami żółtymi i czerwonymi, odbijającemi na tle ciemnej zieleni, przetykanej kolorem słomianych roślin uschniętych. Tu i owdzie widzieć się dawały krzaki, wyglądające tak, jakby je natura w korale przystroiła. Słońce znajdowało się w drugiej drogi swojej dziennej połowie i świeciło tym blaskiem łagodnym, co oczu nie olśniewa, szerząc, jako ognisko, ciepło słodkie i ożywcze. Powietrze, ciepłem tem nawskróś przejęte, wywabiło na ogród biesiadnice wszystkie. Ulice i aleje zapełniły się damami. Potworzyły się grupy i pary wedle wieków. Były tam dziewczęta niedolatki — te biegały; panny starsze poważnie się przechadzały; panie ławki pozajmowały i toczyły rozmowy, których treść snuła się około zwyczajów i zdarzeń dworskich, interesujących żywo niewiasty, co takie wysokie zajmowały stanowiska. Dwór francuski

ton dawał. Rozchodziły się o nim powieści, które chciwie powtarzano i które przyozdabiano dodatkami, zaostarzającymi ciekawość i potęgującymi zajęcie. Przyczyniła się do tego polityka, żywo interesująca sfery wyższe społeczeństwa. Polityka i zdarzenia dworskie tak się spletały, że często odróżnić ich nie było można, a obchodziły białogłowy dlatego już samego, że dwa najważniejsze podówczas w Europie trony, jeden w Paryżu, drugi w Wiedniu, zajmowali dwaj ludzie młodzi, z których jeden zasłynął był już na polu romansowości, drugi zaś stanowił we względzie tym ciekawą i do rozwiązania trudną zagadkę. A wiązały ich pokrewieństwa i powinowactwa. Ludwik XIV był synem Austriaczki i Austriaczkę miał za małżonkę. Na podstawie tej snuły się bez końca do myśły i przypuszczenia.

Młodą księżnę, mającą się na dworze prezentować, zajmowało to żywo. Trzy hrabiny, z którymi w styczność weszła, służyły jej za źródło informacji cennych. Pod względem tym odznaczała się szczególnie hrabina Erdödi. Gdy panie okrążywszy raz bardzo powolnie trawnik, wystawioną na słońce ławeczkę zajęły, ona głos zabrała i rozpowiadać poczęła. Rozpowiadała z gestem—sprawiało to jej zadowolenie wyrazne, przy okazji tej bowiem wykazywała stosunki, jakie posiadała w sferach najwyższych. Wymieniała co chwila nazwiska arystokratyczne. Księżna słuchała i zapytania od czasu do czasu zadawała. Zapytała wreszcie:

— Czemu się najjaśniejszy pan nie żeni?...

— A... — odrzekła z miną tajemniczą.

— Pora już.. lat dwadzieścia cztery...

— Ślubował ponoć — odezwała się hrabina

Zofia.

— Tak powiadają — odparła hrabina Erdödi. — Nieboszczyk cesarz przeznaczył go do stanu duchownego i byłby był sukienkę obłókt, gdyby nie śmierć

brata, który był już królem czeskim, węgierskim i rzymskim i cesarza nieboszczyka do grobu poprzędził... Ale najjaśniejszy pan ślubów nie dokończył...

— A gdyby i dokonał — podchwyciła hrabina Anna Katarzyna.

— Nie dokonywał — powtórzyła hrabina Erdödi z akcentem świadomości niewątpliwej.

— Andrzej Batory był biskupem i kardynałem... Jan Kazimierz, król polski, paliusz na koronę zmienił i za małżonkę bratową własną pojął... Śluby panujących nie obowiązują.

Hrabina Erdödi uśmiechnęła się z wyrazem politowania.

— Jak których — odrzekła. — Nasz najjaśniejszy pan dotrzymałby, gdyby był ślubował... Ale nie...

— Więc by się już oddawna ożenić powinien...

Hrabina Erdödi ramionami ruszyła, wykonywając gest, który tłumaczyć było można rozmaicie. Gest ów oznaczać mógł, że ona o racyi wiedziała, i że nie wiedziała.

— Zapewne mu coś przeszkadza — wtrąciła księżna.

— Cóżby przeszkadzać mogło?

— Miłość młodociana.

— Ach! — wykrzyknęła hrabina tonem protestu stanowczego. — Miłość?... gdzie też!... To człowiek — poprawiła się — to monarcha nieskazitelny...

— Ale młody...

— Dusza czysta w ciele...

Zająknęła się. Powiedzieć chciała: „w ciele pięknem”; lecz zmiarkowała snadź, że piękność tę księżna niebawem oglądać będzie. Dodała więc:

— Dusza czysta, piękna... anielska... na rozkosze ziemskie obojętna.

Opowiadała dalej o zamiłowaniu cesarza w mu-

zyce, malarstwie, teologii, astrologii i przestrzeganiu etykiety dworskiej.

— To dusza nie dla ziemskiego stworzona świata...

I podawała szczegóły, zaznaczające etykietę na dworze panującą. Prawiła o audyencyach i recepcjach, o mistrzu ceremonii i przedstawianiu cesarzowi kobiet. To ostatnie rozbudzało zajęcie szczególne.

— Najjaśniejszy pan — słowa hrabiny Erdödi — nie patrzy na przedstawiające mu damy...

— Jezus Marya! — wykrzyknęła piękna księżna.

— Nie patrzy — powtórzyła.

— Jakże to być może?... Przecież i damom daje do ucałowania rękę?...

— Ale na nie nie patrzy...

— Jakże to być może? — powtórzyła księżna, która zapewne o własnem w chwili tej myślała przedstawieniu.

— Ułatwia to ta etykieta, która na dworze wiedeńskim jest taka sama, jak w Madrycie... Dama się zbliża, przykłęka i mieć powinna oczy spuszczone; podnosi się, do wyciągniętej najjaśniejszego pana ręki podchodzi, pocałunek na niej składa i patrzy jeno na rękę najjaśniejszą... pocałunek składa i cofa się...

— A najjaśniejszy pan?...

— Najjaśniejszy pan rękę podawać raczy...

— Cóż on przez ten czas z oczami swojemi robi?...

— Trzymać je raczy spuszczone...

Nie przystawało to do przekonania księżny. Manipulacya podobna wydała się jej rodzajem ciucubabki, w której spuszczenie oczów zastępowało zawiązywanie ich. Zrozumieć tego nie umiała.

— Więc—zaczęła—więc... naprzykład ja przedstawiam się najjaśniejszemu panu...

— Wchodzisz miłościwość wasza z małżonkiem swoim pod dyrekcyą mistrza ceremonii, który melduje, wpuszcza i stawia... wchodzisz i stajesz w oczekiwaniu na najłaskawsze wezwanie...

— Najjaśniejszy pan wzywając, spojrzeć przecie musi...

— Wcale nie musi... Od tego obok niego stoi jeżeli nie kanclerz, to który z wysokich urzędników dworskich... Ten patrzy zamiast wysokości jego cesarza i wzywa, oznajmiając, czy do złożenia hołdu zdaleka, czyli też do dostąpienia łaski najwyższej ucałowania najdostojniejszej ręki... O tem zresztą zawiadomienie udziela się z góry, wraz z odpowiedzią na żądanie audyencyi...

— I wchodząc... patrzę...

— A księżno! — zawołała. — Byłoby to przekroczenie przeciwko etykiecie, któreby nieochybnie pociągnęło za sobą następstwa...

— Jam się przedstawiała doży...

— Co doża, to nie cesarz...

— Przedstawiałam się Ojcu Świętemu w sukni czerwonej i zasłonie, ale zasłonę miałam podniesioną i patrzałam na oblicze światobliwe...

— Etykieta odmienna... Na każdym dworze inaczej, ale na dworze austriackim oczy spuszczać potrzeba koniecznie...

— A na recepcyach? — zapytała księżna.

— Tembardziej... Na recepcyach najjaśniejszy pan niekiedy siedzenie zajmować raczy, niekiedy zaszczyca obecnych, wśród nich się przechadzając najłaskawiej... W pierwszym razie uszanowanie nie pozwala na najjaśniejszego pana oczów jak na śmiertelnika zwyczajnego podnosić, w drugim, ceremonia nakazuje schylać się za zbliżeniem najdostojniejszej jego osoby i nie przybierać postawy stojącej, aż przejdzie najmiłościwiej...

— Są to zwyczaje wielce uciążliwe.

— Ale bardzo ważne... Przez nie majestat monarszy wykazuje się we wspaniałości całej... Kiedym miała ten zaszczyt, żem się najjaśniejszemu panu przedstawiała, wyszłam niby ze świątyni i teraz, gdy sobie chwilę tę przypominam, przejmuję mnie drzenie świątobliwe...

— Dawnoż to było?...

— Lat temu dwa — odparła. Oh!

— Cesarz był młodziutki taki — zauważyła księżna.

— Ale powagi pełen...

— I nie widziałaś go, hrabino?

— Widzieć widziałam...

— Mimo spuszczonej oczów?...

— Głowę schylając, podnosiłam powieki, i w sposób ten miałam szczęście przelotnie oglądać oblicze najdostojniejsze... Kiedy sobie o tem wspomnę... — dodała, oczy do góry wznosząc.

Hrabiny Zofia i Anna Katarzyna przedstawiały się cesarzowi także i także przez różgi ceremoniału przechodziły. Pierwsza przyznała się, że tak się zastraszyła, iż najjaśniejszego pana nie widziała. Druga postąpiła sobie, jak hrabina Erdödi; głowę schylając, powieki podnosiła.

— Oglądałam... — mówiła — o! oglądałam...

— I jakieżś wrażenie, dostojna krewna, wyniosła?... — zagadnęła księżna.

— Wrażenie... — uhm... ot... — odpowiedziała zapytana, szukając w głowie wyrazów, któreby trafnie i przystojnie rzecz odmalowały. — Wrażenie... — dodała.

Tłumaczyć się atoli nie mogła, w tej bowiem chwili od strony balkonu ukazał się hrabia Erdödi i, dawszy żonie skinieniem głowy znak, jął się żegnać z gospodynią domu, hrabiną Piotrową i księżną Frangopano.

VII.

Przeczcucie.

Markizowi Frangopano nie koniecznie to było na rękę, że opuszczać musiał Czakowac w wigilię zjazdu przyjaciół eks-bana. Zjazd ów nie miał wprawdzie nosić na sobie charakteru politycznego żadnego; że atoli pomiędzy gośćmi spodziewanymi znajdował się niejeden mąż stanu, niejeden człek polityczny, było więc do przewidzenia, że wśród uczt i zabaw polityka się na stół wytoczy. Z racyi tej markiz byłby chętnie pozostał. Względy jednak ważne nie pozwalały podróży do Wiednia ani odkładać, ani nawet zwlekać. Wiadomo było powszechnie, że w Wiedniu kwitła podejrzliwość, wydająca smutne dla tych, ku którym się zwracała, owoce. Markizostwo wystawiać się na nią nie mogli z powodu, że wiązały ich stosunki rodzinne z Wenecją, do której cesarstwo niemieckie nigdy serca nie miało. Pomiędzy państwem jednym a państwem drugim tkwił ościęć: Adryatyk; wybrzeża onego i tonie stanowiły raz jawną, znów domniemalną kość niezgody, wszyscy przeto, co z Wenecją w styczności pozostawali, podpadali z góry podejrzeniu. Dlatego też Franciszek Frangopano, jak skoro do wiadomości jego doszła wola cesarska, tycząca się przedstawienia jego wraz z małżonką na dworze, nie miał chwili czasu do stracenia, zwłaszcza zaś na zabawy, a do tego zabawy takie, które ze strony swojej być musiały w Wiedniu podejrzane. Rad nie rad przeto, w dniu trzecim pobytu opuścił progi gościnne i pociągnął do stolicy.

Część ta podróży, mimo, że się odbywała łatwiej i prędzej, zabrała jednak czasu dni kilka. Na szczęście pogoda stale sprzyjała; razy parę zachmu-

rzała się, lecz wiatr chmury zganiał i młodej pani słońko jesienne przyświecało w podążaniu do celu, którego była wielce ciekawa i o którym często, to z mężem, to z krewnym męża, hrabią Orfeuszem mówiła:

— Ciekawam tego cesarza, na którego się pa-trzeć nie wolno...

Takim był ogólny rozmów jej punkt wychodni. Dawał on pretekst do żartów, w których hr. Orfeusz był niewyczerpany, a które polegały głównie na tem, że dowodził, jako cesarz Leopold jest dla płci pięknej osobistością wielce niebezpieczną.

— Brak mu na wdziękach... — protestowała księżna...

— Wdzięki są rzeczą względną... — tłumaczył. — Upodobanie zależy od... od... od...

— Od czego?... — pytała.

— Bywa dziwaczne... Zachciewa się niekie-dy... gwiazdki z nieba...

— Przecież zachodzi niejaka pomiędzy gwiazd-ką, a człowiekiem różnica...

— Taka sama, jak pomiędzy człowiekiem, a ce-sarzem...

Rozmowy w guście tym toczono znamionowały ciekawość młodej kobiety; rozbudzoną w stopniu wy-sokim. Natężenie onej wzmagano się w miarę, jak się podróżnicy nasi do Wiednia zbliżali. Etap ostatni wypadł im w Wiener Neustadt. Zajechali do gospody wcześniej, a to dla tego, ażeby dawszy ludziom i koniom wypoczynek należyty, nazajutrz do stolicy jednym zdążyć ciągiem.

Wiener Neustadt, czyli *Beczkie Nowe Miasto*, jak gród ów nazywali Słowianie, leży u stóp wzgórzy, które tworzą łańcuch i od zachodu w klamrę niejako biorą kotlinę, zawierającą się w kącie, jaki w miej-scu tem formuje Dunaj z Litawą. Łańcuch ten, sta-nowiący jakby podmurowanie dopierających doń od-

skoków Alp Noryckich i Austryackich, nazywa się Lasem wiedeńskim. Pomiedzy Litawą a Dunajem wy-
mykają się z łona jego rzeczułki, dzięki którym góry
łamią się w wąwozy i urwiska, wyglądające w dali
perspektywicznie przepięknie. Wytwarzają się z tego
krajobrazy, na które oko z zadowoleniem się zwraca.
Krajobrazy te zafrapowały podróżnych naszych,
gdy do Nowego Miasta wjeżdżali, tem bardziej, że
i miasteczko samo przedstawiało się pod postacią
pejzażu, nakreślonego na tle widoków dalszych. Skła-
dały się na nie malowniczo rozrzucone budowle,
mianowicie zaś kościoły, klasztor i zamek. Patrząc
na ten ostatni, którego siwe mury harmonizowały
z tonem jesiennym, księżna odezwała się:

— Prześliczny obraz...

Książe spojrzął i nie odpowiedział.

— Cesarz, w malarstwie rozmiłowany, powi-
nienby kazać obraz ten, jak się w chwili tej
przedstawia, skopiować... — dodała.

— I uzupełnić rusztowaniem... — odparł.

Słowa te na młodą kobietę wywarły wrażenie
przykre. Na męża okiem rzuciła i zapytała:

— Czemuż to?...

— Przed zamkiem odbywają się niekiedy egze-
kucye zbrodniarzy stanu... — odpowiedział.

— O Boże... — westchnęła i, jakby dla uspo-
kojenia siebie, dodała: — Ale... cóż to nas obcho-
dzi?...

Księżna zamilkła, zadumała się i wkrótce po-
tem kolasa zatrzymała się przed gospodą, przez ja-
dącego przodem kuryera upatrzoną i na przyjęcie
gości dostojnych przygotowaną.

Przed gospodą, gdy z pojazdu wysiadała, wy-
dała okrzyk, co się jej mimowolnie z piersi wydaruł.

— Ach!... o?...

Był to okrzyk zadziwienia, do którego dał wi-

dok niespodziany jegomością w odzieży podróżnej, podchodzącego ku niej w postawie ugrzecznionej.

— Witam łaskawość waszą... — były wyrazy, któremi jegomość ów księżnę powitał.

Zwrócił się następnie z powitaniem do markiza i do hrabiego Orfeusza.

— Wracasz już, chyba hrabio?... — zapytał markiz.

— Tak rychło?... — dodała księżna.

— Jeździłem gwoli służby... — odrzekł.

— Cóż w Wiedniu słychać?... — zagabnął książę.

— Hm?... — odparł — jak zwykle: i dużo i mało... Kto uszy nastawia, słyszy dużo; kto, jak ja, na ciekawość nie choruje, wiek przeżyć i o niczem nie wiedzieć może...

Gdy on to mówił, księżna do gospody wchodziła i, na progu się zwróciwszy, do spotkanego jegomości przemówiła:

— Liczę na to, że wyświadczysz nam hrabio ten zaszczyt i podzielisz z nami posiłek podróżny...

— Bardzo łaskawości waszej dziękuję... — odpowiedział. — Posiliłem się już...

— Więc dla towarzystwa z nami...

— Z towarzystwa tak miłego i tak dla mnie zaszczytnego korzystać bym nie omieszkał, gdyby mnie sprawy służbowe nie nagliły... Czekam jeno na konie, które za chwilę gotowe będą, i wnet w dalszą ruszę drogę.

Księżna, hrabia Erdödi (on to był bowiem), markiz i hrabia Orfeusz weszli do izby, w której czekał stół na trzy osoby nakryty. Rozmowa toczyła się dalej.

— Dobrze — zaczęła księżna, do hrabiego się zwracając — że i z chwili skorzystamy...

— Pani taka łaskawa...

— Kogożeś hrabia w Wiedniu widział?... — zapylała.

— Uhm...—odpowiedział.—Osób kilka zaledwie: hofkanclerza Hochera, księcia Ditrichsteina, księcia Lobkowicza...

— A?... księcia Lobkowicza... — podchwycił markiz.

Hrabia potwierdził i, do księżny mowę zwracając, dodał:

— Wszyscy w Wiedniu przybycia łaskawości waszej wyglądają...

— Wszyscy?... Może to powiedziane zawiele... odrzekła.

— Niezawiele, jeżeli śród wyglądających na pierwszym miejscu wymienię najjaśniejszego pana, który wszystkich sam jeden wyraża...

Nie było co do odpowiedzi na to. Księżna wszelako odpowiedziała:

— Czyż najjaśniejszego pana obchodzi osoba moja?...

— Czyżby nie ochodzić mógł?...

— Słyszałeś to hrabia z ust własnych najmiłościwszego pana?...

— Nie...—odpowiedział.—Najjaśniejszemu panu przedstawiać się zaszczytu nie miałem... Słyszałem z ust człowieka, który zna najskrytsze cesarza jegości myśli...

— Zapytać wolno: kto jest człowiekiem tym?...

— Ojciec Müller. Spotkałem się z nim u jego ekscelencyi hofkanclerza... i rozpytywałem mnie, tak o łaskawość waszą, jak o dostojność jego markiza...

— Rozpytywał i o mnie?...—wtrącił ten ostatni. Czy można to za dobry uważać znak?...

— Mówił przychylnie, uprzejmie tak, że możecie się, dostojni państwo, spodziewać na dworze przyjęcia jaknajlepszego...

— Byle jeno to się prędko załatwiło... — rzekł markiz.

Erdödi ramionami ścisnął i rzekł:

— To pewna, że najjaśniejszy pan wrychle do stojność waszą przed oblicze swoje powoła... Wyrozumiałem to ze słów ojca Müllera.

— Kiedy, hrabio, spodziewasz się w Warasdy nie stanąć?... — odezwała się księżna.

— Jutro w nocy...

— Tak prędko?...

— Na wiatrach jadę... — odpowiedział tonem żartu.

— Pilno ci być musi... — zauważyła.

— Nie mnie, ale... — tu się zaciął i wyrazu właściwego w myśli szukał.

Księżna dodała:

— Ten pośpiech jednak nie tyczy się zjazdu w Czakowacu...

— Bynajmniej... — odrzekł ze skwapliwością taką, z jaką odpowiada człowiek, posądzony o zamiar, do którego się przyznać nie chce.

— Do Czakowaca atoli zajrzysz?...

— Nie wiem... może... Zapewne — dodał po chwilce — z gości już zapewne nie zastanę nikogo...

— O! tego ani przypuszczaj... Gościnność hrabiego Mikołaja rozłoży się na tygodni parę..

— Hm... — chrząknął hrabia.

— Pozdrów odemnie hrabinę Zofię i hrabinę Annę Katarzynę i powiedz tej ostatniej, że dane przez nią zlecenia tkwią mi ustawicznie w myśli i sercu.

W chwili tej przed gospodę zajechały pojazdy, jeden otwarty, drugi kryty i szczelnie osłonięty. Stojący przy oknie hrabia Orfeusz odezwał się:

— Czy to dla was, mości hrabio, te wozy?...

Zapytany okiem rzucił i odparł:

— A no... tak...

— Obadwa?...

— Obadwa...

— Uwozicie z Wiednia coś lub kogoś tajemniczego...

Mimo, że słowa te cechował akcent żartu, hrabia Erdödi zmieszał się mocno i, celem zamaskowania zmieszania swego, żegnać się jął. Pożegnał się z księżną, z księciem, czyli markizem, z hrabią Orfeuszem i na wychodnym usłyszał z ust tego ostatniego uwagę następującą:

— Miałem was w podejrzeniu, mości hrabio...

— O co?...

— O porwanie piękności jakiej wiedeńskiej; ale przez uchyloną firankę u mniemanej tej piękności dostrzegłem brodę, wąsy i minę byczą...

— Przywidzenie...—odrzekł Erdödi, wychodząc.

Wyszedł i gniewnie woźnicy, co na koźle pojazdu krytego siedział, dał znak; woźnica na konie huknął—pojazd się potoczył; do drugiego hrabia wsiadł, i ten ruszył. Wkrótce obie bryczki z oczów znikły w tumanach kurzawy, uniesione cwałem koni z miejsca w cwał rzuconych.

— Śpieszno mu...—odezwał się hrabia Orfeusz.

— Był do Wiednia powołany...—rzekł markiz.

— Kogoś do Warasdynu wiezie...

— Jakiegoś zapewne szwaba kapitana.

— Nie zastaniąłby szwaba jednak...

Markiz ramionami ścisnął i odrzekł:

— Od momentu tego pokoju waswarskiego dzieją się rzeczy zagadkowe... Erdödi... ho! ho!...—głową pokręcił.

— Może ci się przywidziało hrabio... — odezwała się księżna, do stołu, na którym jadło postawiono, siadając.

— Cóż mi się przywidzieć miało?... — zapytał hrabia Orfeusz.

— To, że w pojeździe krytym mężczyzna siedział...

— Może... — odparł hrabia miejsce zajmując. Oblicze męskie wpadło mi w oczy przelotnie z po za firanki skórzanej, ostrożnie uchylonej...

— Mężczyzna by się ukrywać nie potrzebował...

— W razie takim, pojazd ów uwiózł tajemnicę i zagadkę...

— Którą rozwiąże hrabina Erdödi..

— Wyobrażam sobie — zaczął hrabia — jak się zacny małżonek będzie miał, jeżeli się pokaże, że kluczem do zagadki jest niewierność małżeńska...

— Przypuszczenie to — księżna na to — czyni rzecz interesującą... Wartoby się na pewne dowiedzieć, kogo hrabia Erdödi powiózł...

— Ktoś ze służby widzieć musiał...

Rzekłszy to, hrabia Orfeusz do posługacza się zwrócił i zadał mu zapytanie stosowne, na które natychmiast otrzymał odpowiedź:

— Mężczyźni...

— Mężczyzna, jeden?... — rzekł.

— Proszę mi wybaczyć, łaskawy panie: nie jeden, ale dwóch...

— Szwabi... co?... kapitanowie?...

— Na szwabów wyglądali, ale nie na kapitanów...

— Cóż to za jedni?...

— Wiedzieć nie mogę; zdaje się, że rzeźnicy chyba...

Informacje te nie rozwiązywały zagadki i tem też bardziej zaostrzały ciekawość, która jednak niezaspokojoną pozostać musiała. Pewną jeno było rzeczą, że jeżeli kapitan warazdyński wioził szwabów, to najprzód, wioził ich z rozkazu kanclerza, następnie,

nie byli to rzeźnicy. Cóż to być mogli za jedni? Na pytanie to odpowiedzi nie było.

Po obiedzie księżna wyjawiała ochotę odbycia krótkiej po miasteczku przechadzki. Ochota jej miała dla męża znaczenie rozkazu. Wybrali się więc we troje, przeszli przez ulicę główną, obeszli rynek, wzięli się uliczką w prawo i znaleźli się na jaworami wysadzonej alei, która prowadziła do zamku.

— Możebyśmy zamek zwiedzili... — odezwała się piękna pani.

— Zamek?... — odparł markiz tonem zakłopotania.

Ton ów zdziwił księżnę.

— Nie masz ochoty?... — zapytała.

— Jeżeli każesz...

— Będę dla ciebie księżną łaskawą i nie każę... Zanotuję sobie jeno w pamięci dzień dzisiejszy, w którym mnie spotyka druga oto zagadka: jedna, uwożenie tajemnicze dwóch ludzi przez Erdödiego; druga, wstręt małżonka mego do zamku... Tamta pozostała i na zawsze zapewne pozostanie nierozwiązaną; do tej zaś — tu się do markiza zwróciła — klucz dasz mi może...

— Ph?... — odparł markiz. — Klucz bym ci dał, gdybym sam go posiadał... Od zamku tego zimno jakieś, niby strach, na mnie wieje... Inaczej ci wstrętu mego wytłómaczyć nie umiem...

— To dziwna... Wiem, żeś nie lękliwy...

— Złożyłem dowody... Jeżeli jednak zamek zwiedzić chcesz, chodźmy...

— A nie... — odparła księżna. — Przedewszystkiem mężowi memu przykrości robić nie chcę...

— Chodźmy... — powtórzył markiz tonem nalegania.

— A potem — ciągnęła — wstręt twój mnie się udzielił i nie przekroczyłabym bramy zamkowej bez

obawy, ażeby się za mną brama ta nie zamknęła na wieki...

— Pomimo, że niema na niej napisu dantejskiego?... — odezwał się hrabia Orfeusz tonem za-
pytania.

— Słowa „*Lasciate ogni speranza*” zawyłyby
w zgrzycie zawiasów.

— Chodźmy... — po raz trzeci powtórzył markiz.

— Nie... za nic... — odparła młoda kobieta. —
Strach mnie przejmuję... Zimno mi się robi... Uchodź-
my co rychłej ztąd... O!...

Wskazała w bok nieco na rozlegający się przed
fosą zamkową plac i oczy jej strzeliły wyrazem prze-
rażenia, pomimo, że na placu tym przerażającego nie
było nic. Służył on za wygon dla mieszkańców No-
wego Miasta. Znajdowało się na nim bydła sztuk
kilka, które trawę skubały i nierogacizny sztuk kilka,
które ziemię ryły. Na jednej z tych ostatnich sroka
siedziała. Wiało stamtąd spokojem sielskim. Mimo
to księżna się przeraziła, zawróciła i pośpiesznie ucho-
dzić poczęła. Na wyobraźnię jej oddziało to zapewne,
że gdy do miasteczka dojeżdżała, markiz placu tego
znaczenie tłómaczył. Uchodziła i szeptała:

— Golgota...

Piersi jej ucisk gniótt. Swobodniej odetchnęła,
gdy plac i zamek z oczu straciła.

— O Boże — westchnęła.

Mąż i hrabia zaledwie za nią zdążyć mogli.
W ulicy miejskiej kroku zwolniła, z głębi piersi ode-
tchnęła, pierś dłonią nacisnęła i rzekła:

— Nie pamiętam, ażebym się tak przeraziła
kiedy...

— Gra imaginacyi — odrzekł hrabia.

— Zapewne...

— Kuzynka wrażeniom podlega...

— Nigdy nie podlegała równie silnie. A prze-
cie...

— Co? — zapytał.

— W Wenecyi widziałam ścieście...

— I cóż?...

— Przejęła mnie zgroza, nie taka jednak, jak tu, gdzien widziała siwe mury i plac...

— I srokę — dodał hrabia.

— Sroka? — zapytała zaciekawiona.

— Wierzchem na koniku świętego Antoniego jechała...

— Gdzie?...

— Na placu, na którym do obrazu sielankowego pasterki jeno brakło... Były krowy, cieleta, owce i te stworzenia, które w bukolikach poeci nie opiewają, a które służą przyjaciołom naszym, Turkom, za przedmiot prześladowania szczególnie zawziętego...

— Tegom nie uważała...

— Szkoda... widok ten bowiem byłby plac w innym przedstawił świetle...

— W żadnym go już świetle oglądać nie chcę — odrzekła, dłońmi niby do obrony podnosząc. — I mówić o nim nie chcę...

Hrabia wykonał giest, oznaczający zgodzenie się z wolą księżny i w milczeniu towarzyszył jej do gospody.

Milczenie zachowywał i markiz.

Rzecz dziwna. Wrażenia tego nie tłómaczyły bliższe, bezpośrednie racje żadne. Zamek służył za więzienie stanu; odbywały się w nim sądy i przed nim egzekucye. Markiz Frangopano na sumieniu swoim nie dźwigał ani w intencji nawet zbrodni, któraby mu los tych, co do zamku tego trafiali, wróżyła. Był we względzie tym czysty. Mimo to — coś — niby przeczucie odezwało się w nim i sprawiało uczucie pognębiające. Z uczucia tego sprawy nikomu, ani sobie zdać by nie umiał. Zamek mu w oczach na-

kszałtł zmory stanął i przygniatał go niejako. Toż rad był temu, gdy się do gospody dostał. Księżna się na chwilę oddaliła; on przed hrabią Orfeuszem stanął, wyciągnął się, wstrząsnął i rzekł:

— Czas zniszczy może kiedyś gniazda podobne...

— Pozakładają nowe — odparł mu bratanek.

— Mówię o tym czasie, w którym się one niepotrzebnymi staną...

— Chybaby na ziemię powrócił wiek złoty...

— Czemużby powrócić nie miał! Rozumie się tego my nie doczekamy, ale... prapra... wnuki nasze doczekają może... Chodzi jeno o wynalezienie takiego pomiędzy ludźmi porozumienia, ażeby jeden drugiego nie krzywdził i jeden drugiemu nie zajrzał... Porozumienie takie istnieje pomiędzy mną a tobą, pomiędzy nami dwoma a Zrinimi Mikołajem i Piotrem, pomiędzy nami i Zrinimi a mieszkańcami miast i włości naszych... Tego dawniej nie było... Frangopanowie ze Zrinimi procesowali się wieki całe... i w końcu wyprocesowali zgodę i porozumienie, które w miarę, jak ludzie do rozumu będą przychodzili, będzie się szerzyło, gruntowało i zamki takie, jak w Nowem Mieście obalało...

— Piękne rojenie... Widać stryju, żeś się poetą urodził... *Poetae nascuntur...*

— Czyż poezya nie przewodniczy i dróg ludziom nie wskazuje?

— Tak, przewodniczy i drogi wskazuje, Ba, gdyby tem, czem stryj jesteś, był Lepold I...

— Są monarchowie, co muzom posłuch dają.

— Zdarzają się tu i owdzie od czasu do czasu, bardzo jednak rzadko, ach! jak rzadko... Któryż z nich o złotym wieku dla poddanych swoich myślał?... Jeden Marek Aureliusz... Na Marku Aureliu-

szu początek i koniec. Z tych co obecnie panują, któryż się do Marka Aureliusza bodaj zdaleka zbliża?... Czy nasz Leopold?... czy Filip IV?... czy Ludwik XIV?... czy Jan Kazimierz?... Poeci śpiewają, a oni... jedni na kwilenie to ani zważają, drudzy — przy dźwięku lutni radzi zasypiają, budzą się i... wyroki śmierci podpisują. Nasz Leopold przecie...

Weszła księżna i hrabia Orfeusz urwał.

— Co... nasz Leopold? — zapytała.

— Mówiliśmy o poezji — odparł.

— Orfeusz przekonywa mnie — podchwycił markiz — że poezja nie jest na nic przydatna...

— Hrabia bowiem za przydatniejszą zapewne uważa muzykę, którą imiennik jego uprawiał z powodzeniem takim, że zwierzęta drapieżne zbiegały się i słuchały, a drzewa w takt gałęziami chwiały...

— I w końcu go niewiasty rozszarpały — dodał hrabia. — Z tego się pokazuje, że i muzyka nie więcej od poezji warta... Zresztą imiennik mój był i muzykiem i poetą... W osobie jego obie te sztuki mają przedstawiciela i przykład... Poeta muzyk dokazać może jednej rzeczy: do piekła wejść i z piekła wyjść, ale sam... Orfeusz małżonki własnej nawet wprowadzić nie mógł...

— Na co się oglądał — podchwyciła księżna.

— Sens moralny stąd ten, że poeta oglądać się nie powinien na nic...

— Ale — przerwała — gdym wchodziła w słuch mi wpadło imię cesarza... Cóż za związek pomiędzy Leopoldem pierwszym a poezją zachodzi...

— Jam właśnie dowieść stryjowi się starał, że nie zachodzi żaden...

— Zachodzi jednak pomiędzy nim a muzyką...

— Wywierającą na niego — podchwycił hrabia

Orfeusz—wpływ taki sam, jak granie imiennika mego na lwy, tygrysy i pantery, co w górach Olympu, Haemusu i Rhodoby przemieszkowały... Póki grał, póty one słuchały; gdy zaś grać przestał, rozchodziły się i swoje robiły... Słowem, stryju kochany — mowę do markiza zwrócił — wybaczyć mi, ale... nie poezya chyba wiek złoty na ten padół płaczu i zgrzytania zębami sprowadzi... *Poetae nascuntur*, jak słowiki po lasach śpiewają, bo nie śpiewać nie mogą; ale... śpiewy ich do serca biorą ci jeno, których serca bolą i którzy pociechy potrzebują; inni -- jednem uchem słuchają, drugim wypuszczają...

VIII.

Z wizytami.

Rozmowa o poezyi, która się pomiędzy podróżnymi naszymi w gospodzie nowomiejskiej zaimprovizowała, nie była dziełem wypadku. Nie byłaby się zaimprovizowała, gdyby nie to, że markiz Franciszek Frangopano należał do wylęgłej na gruncie kroackim trójcy poetycznej, której członek każdy był poetą, wojownikiem i mężem stanu. Mikołaj Zrini, Piotr Zrini i Franciszek Frangopano, jako mężowie stanu, mieli widoki i zamiary, jako wojownicy, czoła nadstawiali, jako poeci, oddawali się rojeniom pięknym, wedle których regulowali czynności i intencye swoje. Śród nich panował nastrój poetyczny i nieco innego, jeno nastrój ów natchnął Mikołaja Ziriniego myślą wejścia w ślady Stefana Batorego. W sposób ten zamierzył on posadzić poetę na tronie. Do tego to odnosiły się słowa markiza, tyczące się złotego wieku i tych monarchów, co muzom posłuch dają. Był on

snadź w zamiary Mikołaja wtajemniczony, a może — domyślał się takowych. Tak czy owak, markiz nie odpowiadał nastrojowi, jaki w Wiedniu panował.

W Wiedniu kurjer przodem wyprawiony przygotował dla księstwa pomieszkanie, odpowiadające stanowisku wysokiemu, jakie w społeczeństwie i towarzystwie zajmowali. Hotele, na wzór dzisiejszych, w czasie owym nie istniały. Istniały gospody niekoniecznie wygodne i służące za przytulisko ludziom kondycyi rozmaitej. Magnaci i dostojnicy państwowi stawali bądź u przyjaciół, bądź po klasztorach, bądź też po wynajmowanych domach prywatnych, na cel ten umyślnie przyrządzonych. Księstwo w domu prywatnym stanęli i na rozporządzenie swoje mieli pokoi kilka, pomieszczenie dla służby, tajnie i wozownie. Hrabia Orfeusz chciał w gospodzie nieopodal zamieszkać z tem, żeby na obiady i wieczerze do stryjostwa dochodzić. Razem z nimi, uważał, mieszkać mu nie wypadało. Markiz atoli nie pozwolił na to. Znalazło się pomieszczenie i dla bratanka, który był stryjecznym od stryjecznych.

Instalacya księstwa odbyła się z całym wielkopąńskim szykiem, poprzedzonym wjazdem. Wjazd rozpoczął się od Mödling, a w potęgę w końcu wzmógł się z tej racyi, że pomiędzy Mödling a rogatkami wieczór zapadł i potrzeba było zapalić pochodnię. Pochodnie wieźli huzary. Były to na długich, giętkich tykach zawieszone koszyki druciane, w których gorzały płomieniem kule smolne. Dwa płomienie takie poprzedzało, po dwa z boków towarzyszyło pociągom podróżnym, składającym się z kolasy ogromnej, która w sześć koni zaprzężona, toczyła się przodem i z pojazdów a wozów kilku, idących za nią jeden za drugim. Przed kolasą biegło dwóch laurfów; za kolasą prowadzono konie wierzchowe oponami osłonięte. Blask płomieni nadawał przedmiotom koloryt osobliwy, który zniewalał przechodniów zatrzymywać

się i patrzeć. Laufrzy krzykiem ostrzegali przejeżdżających, ażeby ustępowali z drogi, oznajmiając wszem wobec i każdemu z osobna, że:

— Jedzie miłościwość jego księżę Trstski, markiz Frangopano z miłościwością jej księżną!... Z drogi!.. z drogi!...

Orszak zatrzymał się u rogatki, przy której stała warta wojskowa. Żołnierze się uszykowali, dowódca salutował, orszak wkroczył do miasta, przeciągnął przez ulic kilka i zawinął wreszcie do mieszkania, w którym na wstępie powitał księstwo w imieniu gubernatora Wiednia przysłany *ad hoc* z gubernium oficer.

— Jego ekscelencya pozdrawia uprzejmie w murach stolicy wasze książęce moście...

Powitanie to znamionowało grzeczność niezwykłą, na jakąby się gubernator z natchnienia własnego nie zdobył. Markiz podziękował i odpowiedział w sposób właściwy. Po odejściu oficera hrabia Orfeusz, który się na etykiecie i zwyczajach wysokich sfer urzędowych znał, odezwał się do księstwa:

— Jak widzę, gotuje się dla państwa moich przyjęcie szynkowe... Winszuję...

— Czy i „zazdroścę”?—zapytał markiz.

— Uhm?... Nie... Uprzejmość dworska ma to do siebie, że się zawsze wobec niej na baczności mieć należy... Im większa, tem niebezpieczniejsza...

— Przerażasz mnie, hrabio—odrzekła księżna.

— Niestety... nie przerażać nie mogę, będąc człowiekiem doświadczonym... Jadłem z pieca dworskiego chleb i od chleba tego uciekłem aż do Seni... Milszą mi jest uprzejmość Uskoków, aniżeli uprzejmość gubernatora Wiednia...

— Rzecz gustu...

— Zapewne... Niewątpliwie, zamiłowanie odegrywa tu rolę niemałąważną... Zawsze jednak... ba-

czność nie zawadzi.. Ostrzegam i do izby mojej wynoszę się..

Markizowi obcemi nie były ani Wiedeń, ani zwyczaje towarzyskie w stolicy, w której dawniej bywał i nawet na dworze cesarskim, za życia Ferdynanda III czas jakiś pozostawał. Do zwyczajów tych zastosował się odrazu. W drugim zaraz dniu przybycia rozpoczął wizyty powitalne, które składał porządkiem hierarchicznym, uczyniwszy wyjątek jedyny na rzecz księcia Lobkowicza, pełniącego wobec majestatu cesarskiego funkcję protektora rodziny Zrinich i Frangopanów. Nic w tem nie było urzędowego. Protektorat ów miał znaczenie formalne, a pochodził ztąd, że rodzinę Lobkowiczów do rodziny Zrinich i Frangopanów zbliżały stosunki zażyłości, sięgające czasów dawnych i pokoleń zgasłych. Lobkowicze z ojca na syna dworu się trzymali; ksiązę Wacław po ojcu odziedziczył dostojęństwo zbliżające go do osoby cesarskiej, a zarazem i przychylność względem tych, których ojcowie przyjaźnili się z ojcem jego. Do niego też markiz udał się najpierw. Księstwo pojechali oboje; zatrzymali się jeno przy kościele św. Szczepana, przed ołtarzem wielkim pacierz zmówili i gdy następnie przed pałacem Lobkowicza wysiedli, znaleźli tam na wstępie przyjęcie takie, jakby na nich oczekiwano. Gospodarstwo oboje na spotkanie ich pośpieszyli, okazując im uprzejmość wielką.

— Pozdrawiamy was, witamy...— mówiła księżna Lobkowicz, ściskając księżnę Frangopano i ogłędając ją od stóp do głowy. Prawda... wszystko prawda, com o tobie, księżno, słyszała...

— Ogadywano mnie przed waszą księżecą mocią—odparła kobieta.

— Ogadywano... tak, ale słabo... Powiadano mi, żeś piękna, ale nie powiedziano, żeś najpiękniejsza.

— I słusznie—broniła się markiza.

— Znajduję, że niesłusznie...

Książę, jeden z najmożniejszych panów czeskich, w młodych swoich latach (czasu wojny trzydziestoletniej) żołnierz, zajmował obecnie stanowisko radcy tajnego i wchodził do składu rady przybocznej cesarza. Radził więc, ale we wszystkich, jakie się zdarzały i zdarzać mogły wypadkach, miał jedno i toż samo do wynurzenia zdanie: „Robić to, co się najjaśniejszemu panu podoba i nie robić tego, co się jemu nie podoba.” Takie zdanie wynurzał. Po za niem atoli miał inne, które chował w duszy tak głęboko, że nikt onego nie znał. Z tem ostatniem się nie zdradzał, luboć postrzegacz uważny i znawca gry fizyognomii ludzkiej biegły zauważyłby mógł, jak w razach, gdy opinia owa druga w duszy się jego budziła, powieki mu zlekka drżały i źrenice migotały. Zresztą, nie manifestowała się inaczej opinia jego własna. Na obliczu poważnem jaśniała zawsze pogoda, dostrajająca się do tonu towarzystwa, w jakim się znajdował. Gniewał się nawet pogodnie i zaliczał się do najwierniejszych i najpewniejszych tronu cesarskiego podpór. A lubił ludziom pomagać i przysługi im świadczyć, pod warunkiem atoli, ażeby to upodobaniu cesarskiemu w niczem się nie sprzeciwiało. Taką była reguła ogólna. Że zaś niema reguły bez wyjątków, zdarzały się przeto i wyjątki, nie inne jednak, jak takie, które się dokonywać dawały w skrytości absolutnej. Sam o nich wiedzieć nie chciał i, jeżeli komu na tej drodze krytej co dobrego zrobił, nie przyznawał się.

W stosunku do Frangopana nie zachodziło nic, coby cesarzowi przykrość jaką sprawiało. Przeciwnie. Markiz na wezwanie cesarskie do Wiednia przybywał, książę przeto nie mógł krępować się w okazywaniu mu uprzejmości.

— Dobrze, żeś się pośpieszył—rzekł do niego,

po zakończeniu ceremonii powitania i dodał, zniżając głos: — a jeszcze lepiej, żeś nie został na zjeździe w Czakowacu...

— Starąłem się jak najrychlej uczynić zadość woli najjaśniejszego pana—odparł markiz.

— To dobrze... to bardzo dobrze...

— Luboć, wyznam, miałem ochotę wielką w Czakowacu pozostać...

— Byłoby źle, gdybyś ochocie tej dogodził...

— To zjazd przyjacielski...

— Przyjaciół Mikołaja Zriniego, który na siebie najjaśniejszego pana rozżalił...

— Mogę ekscelencyi waszej zaręczyć, że hrabia Mikołaj jest zawsze wiernym cesarza i króla podanym...

— O tem nie wątpię; ale... ta dymisya niefortunna!... Czy to się godziło?...

— Sprowadził ją Montecuculi...

— Ach!—rzucił książę. Co to znaczy!...

— Hrabia Mikołaj rozumiał, że nie może zasiadać w gronie, do którego Montecuculi należy...

— Wtem właśnie błąd... błąd występny... Podany każdy zasiadać powinien w gronie, w którym go wola monarchy posadziła, dotąd, póki go wola ta z grona nie wydali... Cóż bowiem sprawił?... oto... łaskę stracił...

— Oto następstwo—ciągnął Lobkowicz. Hrabia postąpił sobie, jak młodzik... Czemu się nie poradził mnie?... Ale nie, uniósł się i uniesieniu uległ, a na dobitkę, jakby chciał niełaskę spotęgować, przyjaciół sprasza i uczyt wyprawia...

— Uczty pożegnalne—pochwycił markiz, który uważał za rzecz potrzebną, jeżeli nie usprawie-

dliwić, to wytłómaczyć eks-bana. Mikołaj usuwa się od życia publicznego całkowicie; że zaś, jak eksce-lencyi waszej wiadomo, przyjaciół miał...

— Za dużo—wtrącił książę.

— Nie mógł przeto, nie godziło mu się opusz-
czać ich bez pożegnania...

— Ha!—książę na to. Na mnie, wolałbym się narazić przyjaciołom, aniżeli najjaśniejszemu panu... Stało się jednak... Hrabiemu Mikołajowi trudno już, bardzo trudno będzie odzyskać względy cesarskie... Daj Boże, ażeby usunięcie się jego od życia publi-cznego szczerem było, ażeby się nie mieszał, nie wtrącał do niczego; w takim bowiem razie... lata upłyną... najjaśniejszy pan zapomni i może go jeszcze
względami swojemi obdarzyć raczy...

— Intencye hrabiego są szczerze...

— Nie wątpię... Chodzi o to, ażeby wytrwał...
Nie trudniejszego, jak nad intencyami panować...

Westchnął, dlatego zapewne, że z trudnością tą łamał się życie całe. Stanowiła ona jego *modus vi-vendi*. Powziąwszy intencję zachowywania łaski ce-sarskiej, pielęgnował ją i nieraz staczać musiał w du-szy swojej walki zawzięte z napastnikiem na inten-cję swoją, którem było własne jego sumienie. West-chnął i zwrócił się do księżny Julii, która z księżną Lobkowicz rozmowę toczyła.

— Pani—zaczął, dłonie zlekka zacierając — do miasteczka naszego po raz pierwszy przybywa...

— Po raz pierwszy... — odpowiedziała z uśmie-chem.

— I jakże?... jakież wrażenie najpierwsze?...

— Nie umiem sobie jeszcze zdać z wrażenia sprawy... Przyjechalśmy wczoraj wieczorem późnym, dziś zaś miasta widziałam tyle jeno, co z okien ko-lasy...

— Dostrzega jednak wasza książęca mość niejakej z Wenecją różnicy...

— O!... i wielkiej...

— W Wiedniu posługiwać się potrzeba kołami i trząść się po bruku, zamiast pływać w gondoli...

— Widziałam jednak coś nakształt kanału...

— Po którym płyną młynarze i węglarze... Nie taki to kanał jak kanały weneckie... I domy nasze nie takie... Nas nie stać na marmury... Rzeczpospolita bogatsza, aniżeli my... i dlatego na nas z góry przez ramię spogląda...

— Niech wasza ekscelencya rzeczypospolitej o coś podobnego nie posądza...—odparła piękna pani.

— Nie posądzam; konstatuje jeno fakta zdarzone w przeszłości niedawnej...

— Teraźniejszość świadczy inaczej...

— Obecnie—wtrącił markiz — panuje w Wenecyi jaknajprzychylniejsze względem cesarstwa usposobienie, tak wogóle, jak w radzie...

— Wiadomość jednak o traktacie vasvasarskim przyjęto tam niekoniecznie uprzejmie...

— Przyjęto ją ze zdziwieniem...—odparł Frangopano. Wrażenie to atoli przeminęło...

— I jakie je...—zapytał książę—zamieniło?...

— Jakie?... —odparł markiz. Zrozumiano, że pokój ów, po takim świetnym jak pod St Gothard zwycięstwie, zawartym został celem uregulowania spraw wewnętrznych węgierskich...

— Rzecz ciekawa, jak sobie, Wenecyanie uregulowanie to wyobrażają...

Wszystkie dalsze księcia Lobkowicza zapytania i uwagi nosiły na sobie cechę wyraźną indagacyi, której dokonanie z góry mu poleconem było. Rozpytywał, objekeye czynił, dyskutował; nie robiłby tego z natchnienia własnego. Widocznie z zadania się wywiązywał i czynił to z akcentem dobrego tonu,

wtrącając od czasu do czasu uwagi żartobliwe, tak, że i panie udział w rozmowie brać mogły. Piękna księżna zgola się tego nie domyślając, udzieliła informacji kilka cennych. W sposób ten radca stanu wyciągnął z gości swoich wszystko, co do wyciągnięcia w materji politycznej było i wtrąciwszy wzmiankę o kościele św. Marka, materję rozmowy zmienił. Dokonało się to bardzo zręcznie i składnie. Św. Marek wywołał św. Stefana.

— Nie posiadamy takiej jak Wenecya świątyni; możemy się atoli katedrą św. Szczepana chwalić... Nie oglądałaś jej pani?...

— Przeciwnie...—odparła młoda kobieta. Świątemu Szczepanowi złożyliśmy hołd przedewszystkiem...

— Otworzyliście sobie wstęp... Tak... Wiecież—do markiza mowę zwrócił—co czynić dalej?...

— Kanclerz...—odpowiedział zapytany.

— Kanclerz, książę von Sagan, hrabia Lamberg, książę Dietrichstein, hrabia Nostitz, hrabia Stahremberg...

— Wymienił jeszcze nazwisk kilka, omijając jedno, należące do męża, który był zdeklarowanym Zrinich i wszystkich, co do rodziny ich wchodzili, wrogiem. Dodał w końcu nazwisko hrabiego Stahremberga, pełniącego przy osobie cesarskiej funkcję zaszczytną marszałka dworu.

— Od jego ekscelencyi kanclerza do hrabiego udać się należy... Ten ostatni przyjmie od was, mości markizie, podanie o audyencyę i będzie miał zaszczyt przedstawić jej jego cesarskiej mości...

— Formy podania nie znam...—rzekł markiz.

— Nie troszcz się o to... Hofmarszałek w kancelaryi swojej napisać każe...

— Osobno dla żony mojej, osobno dla mnie?...

— Zdaje się, że byłoby to zbytiecznem... Żona,

wedle pisma, za mężem idzie... — odrzekł książę z uśmiechem — a najjaśniejszy pan bieglejszym jest w piśmie, aniżeli my wszyscy...

— Nie bieglejszy chyba od księdza Müllera... — zauważył markiz z intencją, w której się złośliwość przebijająca.

— Książę wnet przybrał minę seryo i odparł:

— A...

— Na odpowiedź najjaśniejszego pana poczekać trzeba będzie...

— Nie długo... nie długo... Bądźcie państwo przygotowani na rychłe do dworu wezwanie.

— Radbym się stawić pod skrzydłem waszej książęcej mości...

— Hm?... Zależy to od woli najjaśniejszego pana...

Skłonił się, jakby woli tej hołd składał.

— Ze wstydem wyznam—odezwała się księżna Frangopano, do księżnej Lobkowicz mowę zwracając—że waszej książęcej mości prosić muszę o udzielenie mi, co do audyencyi, rad i wskazówek...

— Co się ubioru tyczy?...—zapytała księżna.

— Tak, niestety...—odpowiedziała markiza z miłą niewiadomością zawstydzonej.

— Czarna, albo ciemna z ogonem suknia akсамitna przyozdobiona koronkami; kryzy, klejnoty, kapelusz z piórem strusiem i z woalką gazową... Każ sobie, księżno, krawca (nazwisko wymieniła) przywołać i poleć mu, ażeby przysposobił strój audyencyonalny...

— Suknie posiadam...

— On opatrzy i przyozdobi, oraz wskaże, które się na audyencye, a które na recepcye nadają... Nie ulega bowiem wątpliwości, że najjaśniejszy pan udzielić raczy państwu pozwolenia bywania w zamku na recepcyach... Przygotować się do tego należy...

— O Boże!... — westchnęła młoda pani — toż mnie praca ciężka czeka...

Księżna Lobkowicz uśmiechnęła się i głowę z nacechowanym żartobliwością politowaniem pokiwała, mówiąc:

— Ciężka, zaiste...

— Ale wynagradzająca trud sownie... — wtrącił książę z uśmiechem szarmanckim i dodał: — luboć, co się pani tyczy, wynagrodzenie trudu tego rodzaju jest rzeczą całkowicie podrzędną... Natura wyposażyla panią tak wspaniale, że blask jej oczów przyćmi klejnoty i stroje.

— Wasza książęca mość — odparła księżna Frangopano — wprowadzasz mnie w kłopot wielki... Nie wiem, czy mam brać słowa jego w znaczeniu opinii o mnie łaskawej i dziękować, czyli też w znaczeniu komplementu i... nie wierzyć..

— W jedno jeno chciej pani uwierzyć, a to: że słowa moje są wyrazem przekonania, które... tego pewny jestem... podziela ze mną każdy, co ma szczęście oglądania pani...

Pomiędzy księciem Lobkowiczem a księżną Frangopano zawiązała się ugrzecznienia pełna sprzeczka, która się niebawem zakończyła. Markiz wykonał gest pożegnalny; markiza się z siedzenia podniosła; nastąpiło zaokrąglenie wizyty ukłonami i wynurzeniami; gospodarstwo wyprowadzili gości do drzwi wchodowych.

Młodzi księżstwo udali się do mieszkania barona Hochera. I tu zdarzyło się tak, jakby na nich oczekiwano, z tą jeno różnicą, że nie baronostwo oboje, ale baron sam na powitanie ich wyszedł. Baron wyglądał wcale inaczej, jak dni temu kilka u cesarza, kiedy stanął wobec monarchy na wezwanie księdza Müllera. Postawa i mina jego wyrażały najwyższego w państwie dostojnika. Głowa jego okryta spadającymi mu na ramiona i na grzbiet puklami peruki, po-

ważnie i hardo się wznosiła. Na ustach błdził uśmiech uprzejmy, akcentem łaskawości nacechowany.

— Wysoko cenię sobie ten zaszczyt — przemówił — żeście państwo raczyli w progi moje wkroczyć...

— Pełnimy powinność naszą—odparł markiz — i tak żona moja, jak i ja, ubiegamy się o łaskawe ekscelencyi waszej względy...

— Jakże pani Wiedeń znajduje?...—zapytał baron księżny.

Księżna to samo i temi samemi słowami, co na zapytanie podobne księciu Lobkowiczowi, odpowiedziała i powtórzyła się dosłownie prawie rozmowa przed półgodziną toczona. Powtórzyła się również i indagacya, tycząca się usposobienia umysłów w Weneecyi w stosunku do cesarstwa. Była jednak o wiele krótsza i bardziej sumaryczna. Kanclerzowi widocznie nie chodziło o szczegóły. Odniesienia niaby rzucił zapytań kilka i, ani wspominając o Zrinich, zagał rzecz o wybrzeżach morza Adryatyckiego, o malowniczości onych.

— Piękne są... -- mówił — piękne i pięknie w chwili tej reprezentują się w stolicy...

— Toż jak?...—zapytał markiz.

— Pod postacią syreny... syreny morza Adryatyckiego...

Ponieważ wyrazy ostatnie były tytułem poetycznych Piotra Zriniego utworów, markiz nie zrozumiał zawartego w nich w przenośni komplementu. Wydało się mu, że baron o książce mówi i ponieważ o niej mówi, więc musi być chyba na język niemiecki przełożona. Zapytał przeto:

— Tłumaczona?...

— Tłumaczy się sama... — odparł baron, który o żadnej książce w chwili tej nie myślał.

— Ciekawbym ją widzieć...

— Spójrz, książę... — i oczami, z gestem galanterii uprzejmej, na księżną wskazał. W osobie jej książęcej mości tonie Adryatyku przysłały nam syrenę...

— Al... — zrozumiał markiz i, celem zdaje się zamaskowania nieporozumienia, dodał: — Nie niebezpieczną atoli... Uroki syrenie moc swoją na lądzie tracą...

— Kto wie...—baron na to.

— Na lądzie niema nawy i sternika...

— Kto wie...—powtórzył.

Markizowi przyszedł na myśl cesarz, sterujący nawie państwowej, i baronowi cesarz także na myśl przyjść musiał, odezwał się bowiem:

— Najjaśniejszy pan rad państwu będzie...

— Gorąco wraz z żoną moją pragnę dostąpić zaszczytu przedstawienia się jego cesarskiej mości...

— Zgłoś się książę do hrabiego Stahrnberga... nie do Stahremberga, stadthaltera, ale do Stahrnberga, hofmarszałka... Nazwiska ich różnią się o literę jedną...

— Nie omieszkam...—odrzekł Frangopano.

U marszałka dworu, u którego wizyta miała charakter interesu, księżna z kolasy nie wysiadała. Książę przedstawił się sam, chwilę zabawił, podanie podpisał i do oczekującej nań żony powrócił.

— Dokąd teraz?...—zapytała księżna.

— Do księstwa de Sagan...

Ruszyli i kolejno wizyty składali dostojnikom wysokim, którzy, jakby się zmówili, wszyscy w domu byli, wszyscy uprzejmie młodą parę przyjmowali i wszyscy w rozmowę indagacyjną o Wenecję wpadali. To ostatnie zastanowiło młodą kobietę. Zwróciła na osobliwość tę uwagę męża.

— Wygląda to—rzekła — jakby panowie ci hasło dostali...

— A tak... — odrzekł — ale mogło to i samo przez się nastąpić... Przybywamy z Wenecyi; w Wenecyi posiadamy znajomości i stosunki; nie w tem przeto niema dziwnego, że się nas ludzie o Wenecyę rozpytują... Wenecya w ludziach ciekawość wzbudza...

IX.

Spojrzenie.

Na audyencyą do cesarza młoda księżna włożyła na siebie ciemną z odbiciem granatowem suknię aksamitną, bufiastą i powłóczystą, która na pozór wydawała się ciężką i tem lepiej przez to uwydatniała wiotkość okrytej nią postaci. Ozdoby odpowiadały okryciu głównemu bogactwem i gustem. Pierś osłaniały koronki brabanckie, szyję z góry do dołu otaczała kryza, od której odbijały brylanty misternie urobionego naszyjnika i służyły za oprawę głowie, której szczególny każdy zastanawiał doskonałą rysów wykończonością. Ował oblicza, oczy, usta, nos, czoło miały zakrój klasyczny, przenikniony nawskróś wdziękiem, który, zdawało się, z głębi bił. Wdzięk potęgowały jedwabiste czarne warkocze, łuczyste czarne brwi i jakby przy ogniu nieco przyrumieniona płeć, powlekająca matem niby zabarwienie policzków i świadcząca o gorącu krwi. Dyszało od niej południe, ogniste a rozkoszne i tajemniczych jakichś uroków pełne.

Księżna na pokoje cesarskie weszła zawieszona na ramieniu męża, mającego na sobie bogaty strój węgierski. Markiz cały był w złocie, brylantach, turkusach i szmaragdach. Od guzów jego blaski biły;

szablę osypywały kamienie drogie; na kołpaku z pośrodku dyamentów wystrzelało pióro ozaple; przy butach podzwaniały ostrogi złote. Strój tem się wydawał piękniejszy, że okrywał postać człowieka młodego i przystojnego, luboć nie marsowatego. Na obliczu rozlany miał wyraz tęsknotą nacechowanej dobroci. Brody nie nosił, wargę zwierzechną osłaniały mu wąsy niepokazne, na ramiona spadały włosy długie nad czołem rozdzielone i gładko uczesane, a tylko u dołu lekko w pukle podwinięte. Szczupły, wzrostu miernego, niósł na sobie z wdziękiem spięty pod szyją na kłamrę kosztowną i przesunięty na lewo suto złotem szamerowany dołman.

Para ta, gdy się ukazała, wrażenie w komnatach zamkowych zrobiła. Wrażenie pochodziło nie od stroju bogatego, który pod dachem cesarskim zgoła rzadkością nie był, ale od postaci księżny. Paziowie, gdy mimo nich przechodziła, usta nieco i oczy szeroko otwierali, młodzi urzędnicy cywilni i wojskowi hołd piękności mimowolnem głów chyleniem składali, starzy z rodzajem zdziwienia spoglądali. Na wstępie, gdy nazwisko swoje markiz wymienił, skłonił się mu jeden ze służbowych kamerjunkrów i drogę mu z ugrzecznieniem wielkiem wskazując, rzekł:

— Proszę...

Pod przewodnictwem jego przeszli księstwo szereg komnat i zatrzymali się w sali poczekalnej, w której spotkał ich jegomość poważny w pończochach, trzewikach, we fraku, przy szpadzie, we fryzurze puklastej, w łańcuchu na szyi i z długą w złoto okutą laską w ręku. Jegomością owego przedstawił kamerjunkier księstwu, jako nadwornego mistrza ceremonii i przedstawił mu księstwo.

— O! — odezwał się mistrz z ukłonem. — Jakżem szczęśliwy, że spotyka mnie ten zaszczyt... Wasza książęca mość — przemówił do markiza — nie po

raz pierwszy stajesz wobec jego cesarskiej mości... A zapytać śmiem—na księżnę wejrzenie zwrócił—wasza książęca mość?...

— Jeszczem zaszczytu tego nie miała — odrzekła.

— A?... O... — głowa skinął. Zadanie to trudne, nie wątpię jednak, że wasza książęca mość z onego się wywiąże... Chodzi o to najbardziej, ażeby się nie zapomnieć, a raczej nie zastraszyć wobec majestatu... Damy wszakże odważne bywają... Niech więc jeno wasza książęca mość, bez podnoszenia na majestat oczów, odważnie, jak najodważnij wykona rewerencyę niską raz, potem drugi raz, wreszcie jeszcze raz... o... Przydygnąć trzeba z odwagą trzy, wyraźnie trzy razy... i to wówczas, kiedy ja, przodem trochę idąc, ręką znak dam...

Słowa powyższe wypowiedział tonem poufności życzliwej, przy ostatnich zaś zrobił kroków kilka i pokazał ów znak, o którym wspomniał. Polegał on na lekkim z boku kiwnięciu dłonią.

— Niech wasza książęca mość patrzy nie na oblicze najjaśniejszego pana, ale na dłoń moją—ciągnął dalej—i niech mi wybaczyć raczy śmiałość z jaką jej daję wskazówki, których ważność wasza książęca mość sama najlepiej ocenia...

Wyrazy ostatnie wyrzekł tonem przekonania głębokiego.

— Dziękuję wam, panie hrabio — odpowiedział markiz. Oceniamy łaskawość jego...

— A, mości książę — odparł. Pełnię jeno powinność moję względem dworu i majestatu, wobec którego giest każdy ma wysokie znaczenie swoje... Odwagi jeno, mościa księżno, a wszystko pójdzie do brze... Gdyby najjaśniejszy pan przypuścić was raczył do ucałowania świętej ręki swojej, podejdiesz, pocałunek przyklękawszy nieco złożysz, rewerencyą

głęboką oddasz i, twarzą do najjaśniejszego pana zwróconą, cofniesz się...

— Oczów nie podnosząc—dodał markiz.

— A to się rozumie... Al... oczy podnosić?... broń Boże!

Księżna, z natury odważna i mająca dokładne o ceremoniale dworskim wyobrażenie, gdy mistrz ceremonii skazówki jej dawał, uczuwać w sobie obawę poczęła. Do duszy jej zajrzało z wątpienie, azali się z zadania wywiąże. Po za skórą chłód jej przeszedł. Odchrząknęła zlekka i przysunęła się do męża, jakby w nim opieki i obrony szukała. Mistrz ceremonii, który ruch ten spostrzegł i zrozumiał, odezwał się:

— Odwagi jeno... odwagi... Proszę w pogotowiu być...

Rzekłszy to, wyszedł. Księżna do męża szepnęła:

— Boję się...

— A—odparł markiz—i czego?...

— Żebym się w czym nie zmyliła... Nie przypuszczałam, ażeby to tak uroczystem być miało...

— Wyobraż sobie, że do kościoła wchodzisz i do ołtarza wielkiego się zbliżasz...

Odchrząknęła, w zwierciadło naprzeciw zawieszone spojrzła, lekkim ciała ruchem odzież na sobie poprawiła, postawę przybrała i w części obawy się zbyła.

Po chwili mistrz ceremonii powrócił.

— Najjaśniejszy pan—przemówił—raczy waszym książęcyom gościom pozwolić przed najjaśniejszem obliczem swoim stanąć... Proszę...

Ze słowem ostatniem ruszył i krokiem miarowym, łaskę przed sobą niosąc, prowadził młodą parę. Drzwi się przed niemi, przez halabardników obsadzone, otwierały, portyery podnosiły, wreszcie podniosła

się portyera ostatnia i księstwo weszli do obszernej, wspaniałej, poźłocistej, kobiercem wystanej i ludźmi zapełnionej komnaty. Ludzi reprezentowały płcie obie. Byli oni uszykowani. Mężczyźni, dostojnicy wysocy, co się po odzieży ich poznać dawało — zajmowali stronę jedną, damy drugą i tworzyli kąt, którego wierzchołek stanowiło krzesło na podniesieniu, zajęte przez człowieka, ku któremu wszystkie zwrócone były oblicza. Głowy wszystkie pochylone znamionowały uszanowanie. W komnacie panowała cisza.

Księżna od progu okiem do koła powiodła i rzut ten oka przywrócił w niej równowagę moralną. Odzyskała odwagę. Są natury, którym obecność świadków odwagę odbiera; są natury, którym świadkowie służą za rodzaj rezerwy, dodającej im ducha. Księżna należała do tych ostatnich, uczuła się, jakby podtrzymywaną i przy progu wykonała, na skinienie mistrza ceremonii, dygnięcie głębokie, powolne i długie. Do ziemi prawie przysiadła obok męża, który się ukłonem pochylił. Poszła następnie naprzód ku wierzchołkowi kąta, zatrzymała się i znów jak poprzednio dygnęła. Czuła na sobie niejako promienie dziesiątków kilku par oczów, wpatrujących się w nią ciekawie. To jej nie mieszało — przeciwnie: odwaga w niej rosła i nawet, o zgrozo! w pochodzie tym uroczystością taką nacechowanym przedstawiła się jej strona śmieszna. Odbiło się to na jej obliczu, które się okraśliło uśmiechem, idącym z wnętrza. Śmieszność widziała nie w uroczystości, ale w skinieniach dłoni mistrza ceremonii, ruszającej się, jakby na sprężynach. Dłoń się po raz trzeci poruszyła i ona po raz trzeci przysiadła głębiej, powolniej i dłużej, jak poprzednio. Przed oczami swemi miała stopień podniesienia, na którym stało krzesło zajmowane przez Leopolda I. Cesarz znajdował się od niej w oddaleniu kroków trzech. Zdjęła ją ochota w oczy mu spoj-

rzec; powstrzymała się jednak i po chwili o uszy jej obity się wyrazy następujące:

— Najjaśniejszy pan najmiłościwiej waszym książęcyem mościom pozwalać raczy ucałować rękę swoją...

Na podniesienie wstąpił najprzód markiz. Szabla brząkała, ostrogi dźwięk czysty wydały — księżna z pod oka śledziła ruchy męża i, kiedy on pocałunek składał, oblała wejrzeniem oblicze cesarskie.

Przejęto ją politowanie zgrozą podszyte.

Leopold I pięknocią się nie zalecał. Byłaby to jednak rzecz mniejsza, gdyby przytem osoby swojej nie przystrajał w dodatki, które niepowabność jej potęgowały i uwydatniały. Odzież miał na sobie ciemną, złotem szamerowaną, pod szyję zapinaną i pod szyją zakończoną szerokim, białoci śnieżystej, haftowanym, wyłożonym kołnierzem, który służył za piedestał niejako dla głowy, przykrytej peruką olbrzymią. Peruka ta nadawała głowie pozór potwornej ułomności, polegającej na zbytecznem rozrośnięciu się czaszki. Piętrzyła się ona na wierzchu i osłaniała czoło; z pod niej wyglądały oczy, mające wyraz zaspiania, po oczach szedł nos niekształtny i pod nosem wisiała wargą, charakteryzująca rasę habsburską, lecz u Leopolda I rozrosła bardziej, aniżeli u którego z poprzedników i z następców jego. Oczom księżny przedstawily się przedewszystkiem, na tle białem kołnierza wyłożonego, peruka o rozmiarach niezwykłych i wargą czerwona brodę wpół przysłaniająca. Ta ostatnia taki fizyognomii nadawała pozór, jakby Leopold I mięsa surowego kawał w zębach trzymał.

Młoda kobieta spojrziała, oczy spuściła i czekała na kolej swoją, która wnet nadeszła. Z oczami spuszczonemi i z dłońmi pod piersiami złożonemi na stopień weszła, kroków parę zrobiła, pod oczy jej wpadła wyciągnięta w mankietach haftowanych ręka

i ona, ku ręce tej się pochyliwszy, lekki na niej pocałunek złożyła. Podczas kiedy akt ten dokonywała, oskrzydłali ją dwaj dostojnicy dworscy w pogotowiu do podtrzymania jej, gdyby się tego potrzeba okazała, zdarzało się bowiem, że damy, przy całowaniu ręki cesarskiej ze wzruszenia mdlały. I ona wzruszoną była, nie do tego atoli stopnia, ażeby aż zemdleć miała. Podtrzymanie wszakże przydało się. Cofać się musiała tyłem, byłaby przeto ze stopnia spadła, gdyby pod łokciami oparcia na dłoniach dostojników nie znalazła. Dzięki oparciu temu, zesła bez wypadku i, na skinienie mistrza ceremonii, wykonała dygnięcie czwarte, a wykonawszy takowe, znalazła się obok męża u stóp podniesienia.

Spuszczenie oczow nie pozwalało jej widzieć akcyi mimicznej, jaka się na podniesieniu cesarskiem odbywała. W ciszy, jaka w komnacie panowała, zabrzmiały jej w uszach wyrazy:

— Najjaśniejszy pan najmiłościwiej zapytywał waszej książęcej mości raczy o zdrowie...

— Łaska ta najwyższa przejmuję nas wdzięcznością niewysłowioną—odpowiedział książę Frangopano. Dzięki Najwyższemu, księżna małżonka moja i ja dobrem cieszymy się zdrowiem i prosimy Pana Boga o jaknajczterstwiejsze zdrowie i jaknajdłuższe życie dla najmiłoścowszego naszego cesarza i króla...

Po odpowiedzi tej nastało milczenie chwilowe, po którem znów, tymże samym wymówione głosem, zabrzmiały wyrazy.

— Najjaśniejszy pan najmiłościwiej waszym książęcym mościom zezwolić raczy oddalić się i miejsca zająć...

Mistrz ceremonii po raz piąty skinął i księżna po raz piąty wykonała dygnięcie. Nie było to jednak ostatnie. Ceremoniał przepisywał siedem i właśnie na dwa jeszcze pozostawało czasu i miejsca. Cofając

się od podniesienia cesarskiego, ujrzała skinienie i dygnęła, następnie ujrzała skinienie znów, dygnęła i usłyszała z ust mistrza ceremonii udzielone przez najjaśniejszego pana najłaskawsze pozwolenie zajęcia siedzenia. Obejrzała się i opuściła na obity czerwonym suknem taburet, stojący pomiędzy taburetami, zajętemi przez dwie bardzo dostojne damy: księżną wdowę Rakoczy, Batorównę z domu i księżną Lobkowicz. Panie te uprzejmymi młodą księżną powitały uśmiechami, ale nie rzekłszy do niej słowa jednego. W komnacie tej, w obecności cesarza, bez wyraźnego ze strony jego pozwolenia nikt ani wychodzić, ani odzywać się nie śmiał. Pomimo przeto, że osób było dużo, panowało milczenie pod sklepieniem malowanym, wśród ścian, których gzymsy i fugi złoczone służyły za ramy dla ozdób, zasłoniętych tu obrazami, owdzie zwierciadłami i układały się symetrycznie do okien, wygiętych w łuki gotyckie.

Pod sklepieniem tem i wśród ścian tych panowało milczenie, przerywane od czasu do czasu głosem od tronu, brzmiącym monotonnie i z akcentem takim, z jakim brzmią wyrazy, które księża w kościele przy ołtarzu podczas mszy wymawiają. Słyszane w odstępach pewnych: „Najjaśniejszy pan najmiłościwiej zezwolić raczy” wiele w tonie podobieństwa miało do „*Introibo et altare Dei.*” Leopold I udzielił audyencji jeszcze parę i przez czas ten księżna Julia miała możność rozpatrzenia się w obrazie, jaki sala przedstawiała. Cesarz zasiadał w otoczeniu dygnitarzy najwyższych, zajmujących na taburetach siedzenia po jednej i po drugiej podniesienia stronie. Z tyłu stał szereg posągów nie z marmuru ani ze spiżu, ale z ciała i kości, stanowiących istotę ludzi żywych, składających straż przyboczną cesarza. Kołpaki ich widniały, oręże jaśniały, oblicza człowieczy wygląd miały, ale nieruchomość absolutna wątpić kazała, ażeby to były istoty żyjące. Nic na nich nie drgało, ani

się chwiało — kitki na kołpakach do góry sterczały tak, jakby nie z pierza, ale z żelaza były.

Nieruchomość podobną zachowywał cesarz i ci wszyscy, co go najbliżiej otaczali z wyjątkiem dygnitarzy trzech, którzy stali. Z tych jeden, szarfą przepasany i łańcuchem przyozdobiony, przemawiał, dwaj zaś inni damom przy wchodzeniu na podniesienie asystowali. Przemawianie następowało, gdy cesarz znak dawał, znak tak słaby, że z obecnych nikt ani go widział, ani rozumiał, albowiem domysleć się nie można było, że podniesienie palca jednego znaczy udzielenie pozwolenia na ucałowanie ręki, podniesienie palca drugiego znaczy zapytanie o zdrowie, podniesienie zaś palca trzeciego znaczy odprowadzenie gościa i t. p. Ten tylko ruch, jako też wyciągnięcie ręki, gdy całowanie następowało, wykonywała osoba cesarska — zresztą żadnego. Ruch niejaki manifestował się pomiędzy tymi, co zajmowali boki idącego od tronu kąta. Ci głowy raz spuszczały, znów podnosili nieco i z pod oka wejrzenia zwracali na cesarza. Najznaczniejsze głów podnoszenie i najpilniejsze patrzenie miało wówczas miejsce, gdy osobistość nowa na podniesienie wstępowała. W razie takim, ze strony zwłaszcza niewieściej, wzroki i słuchy natężano, wzroki zwłaszcza, albowiem do słyszenia nie było nic innego, jak powtarzane zawsze jednakowo wyrazy, wygłaszane przez dygnitarza, co najjaśniejszego pana w mówieniu wyręczał.

Księżna Julia rozpatrzyła się dowoli w tej reprezentacji, nacechowanej charakterem powagi uroczystej. Oddziaływało to na nią. Przejmował ją rodzaj bojaźni bożej, skruchy, pokory i tylko w głębi duszy swojej uznawała, iżby wołała, ażeby na miejscu Leopolda I zasiadał na wywyższeniu człowiek nie z taką wargą, nie w takiej peruce i nie taki niepowabny.

Gdy życzenie to sformułowało się, nagle powstał

ruch. Wszyscy, co siedzieli, naraz jeden podnieśli się. Podniosła się i młoda księżna zdziwiona trochę— głowę wyprostowała i w chwili tej wzrok jej spotkał się ze wzrokiem cesarza, patrzącego z wyrazem. Cesarz przechodził i w przechodzie rzucił wejrzenie przelotne. Wejrzenie to cechowała wymowa. Mówiło ono — mówiło coś, od czego powieki księżny spadły i oczy jej się firankami rzęs zasłoniły. Przemięło to jednak prędko. Cesarz przeszedł, poprzedzając postępujących za nim dygnitarzy, za którymi ruszyła straż przyboczna. Przed cesarzem głowy obecnych, jak kłosa od wiatru się chyliły. Wkrótce orszak za drzwiami zniknął i, po zniknięciu onego poczęło się powolne sali audyencyjonalnej wypróżnianie.

Księżna Julia znajdowała się pomiędzy księżną Rakoczy i księżną Lobkowicz. Jak skoro cesarz odszedł, pierwsza z pań tych do niej się wnet zwróciła:

— Winszuję, z serca całego winszuję — odrzekła.

— O księżno pani—zaczęła markiza.

— Winszuję, z serca całego winszuję—odezwała się księżna Lobkowicz.

Nie zdążyła na odpowiedź się zdobyć, gdy księżna de Sagan, hrabin kilka i baronowych kilka z powinszowaniami do niej przystąpiło.

Po damach powinszowania składali jej paziowie. Młoda kobieta nie rozumiała, skąd to pochodzi. Domyślała się, że powód tkwi albo w tem, że dostąpiła zaszczytu całowania ręki cesarskiej, albo w tem, że w niczem przeciwko etykiecie nie wykroczyła. Księżny Rakoczy o powód zapytać chciała; powstrzymała się jednak, lękając się, ażeby zapytania jej nie wzięto za naiwność udaną. Przyjmowała więc powinszowania i w towarzystwie licznem przechodziła przez te

same komnaty, przez które przed godziną była weszła. U wnijsia do zamku księżna Lobkowiez, która jej nie odstępowała, zwróciła się do niej z prośbą:

— Byłby to dla księcia i dla mnie zaszczyt wielki, gdybyśmy księstwo u siebie na obiedzie dziś mieć mogli...

— Zaszczyt ów jest raczej zaszczytem dla nas — odparła księżna Julia.

— Czekamy więc... O toż się książę ucieszył...

— Ja jeszcze, co mój pan na to powie, nie wiem...

— Książę Franciszek nie sprzeciwia się zapewne woli pani; gdyby zaś sprzeciwiał się w razach pewnych, to nie teraz chyba, kiedy z powodu żony jego stał się fakt, o którym mówi Wiedeń cały... Młoda kobieta szeroko ze zdziwienia otwartymi oczami na księżnę Lobkowiez spojrzała, ta atoli zajęła się rozmową z markizem, zapraszając go na obiad przyjacielski.

— Obcego nikogo nie będzie — mówiła i opowiadała o przyjemności, jakiej w kółku poufnem będą doznawali.

Księżna Julia nie mogła o fakt zapytać. Zapytała o takowy męża, gdy z nim do kolasy wsiadła i do mieszkania swego, celem zmienienia toalety jechała. Ten atoli odpowiedział:

— Co za fakt?... Czyż zaszło co nadzwyczajnego?...

— Cesarz nam audyencyi udzielił...

— I tyle... Chyba że...

— Co? — zapytała, dowiedzieć się chcąc, czego się mąż domyśla.

— Należymy do rodziny, która się łaską cesarską nie cieszy... fakt przeto odnosi się może do tego, że mimo to, najjaśniejszy pan przyjął nas łaskawie...

— Zapewne—odrzekła.

— Na dworze najmniejszy cesarza gości ma znaczenie ogromne, nie dopiero przyjęcie łaskawe ludzi, zaznaczonych piętnem niełaski...

Tłumaczenie to wydało się racjonalnem. Księstwo do domu przyjechali, przedzielili się w półgodziny później znajdowali się w pałacu Lobkowiczów.

Zapowiedź księżny Lobkowicz, jako „obcego nikogo nie będzie”, urzeczywistniła się, ale z małym jednym wyjątkiem, tyczącym się osobistości duchownej. Gospodyni na wstępie gości swoich uprzedziła.

— Trafił się nam gość, który się na obiad wprosił — rzekła i dodała: — ksiądz Müller.. spowiednik cesarski... człowiek znaczenia ogromnie wysokiego, a przytem w towarzystwie bardzo miły...

Ksiądz z uprzejmością wielką powitał młodą parę, a księżnę Julię obrzucił wejrzeniem takim, jakiem sędzia śledczy obrzuca po raz pierwszy widzianego delikwenta. Okiem ją zmierzył i oblicze swoje w uśmiech ujmujący przystroił.

Rozmowa, która się wnet zawiązała i toczyła przed obiadem, przy stole i po obiedzie, wiła się nakształt girlandy z przedmiotów rozmaitych. Ksiądz wplatał w nią dykteryjki żartobliwe i wyciągał na słowo księżną Julię, która odpowiadała ze swobodą kobiety światowej, zasobnej w materiały do rozmowy. Mówiono o Wenecyi i Wiedniu, o życiu towarzyskiem i wypadkach politycznych, o Ludwiku XIV i jego stosunkach domowych — o wszystkim, słowem, co stanowiło treść ogólną gawęd potocznych w momencie owym, bogatym w wypadki, znamionujące świtanie nowej w dziejach epoki. Świtanie to odbijało się w salonach i rzucało odblask na rzeczy najbardziej powszechne.

Po obiedzie panowie i panie podzielili się na dwa grona. Pierwsi przeszli do salonu; księżna Lobkowicz

uprowadziła markizę do pokojów swoich. Tu i tam rozmowa nie ustawała. Ksiądz Müller zagaił materią o stosunkach hiszpańskich, nadających się do horoskopów politycznych z powodu skojarzenia się węzłem małżeńskim dworu francuskiego z dworem hiszpańskim. Była to materya niezmiernie bogata. Antagonizm pomiędzy Burbonami a Habsburgami stanowił oś polityczną, około której obracały się sprawy tureckie, sprawy polskie, sprawy włoskie i wszystkie, jakim Europa za teatr służyła. Więc ksiądz Müller, księżę Lobkowicz i księżę Frangopano mieli o czem do mówienia.

— Żyjemy w epoce ciekawej — zauważył ten ostatni.

— Ahm... — ksiądz Müller na to — w epoce, w którejby z łatwością rzeczy pójść mogły krzywo, gdyby zależały wyłącznie od rozumu ludzkiego... Na szczęście czuwa nad nami Opatrzność, której zrządzeniem na tronie cesarskim zasiada Leopold... Możemy być przeto o następstwa spokojni...

Na pokojach księżny Lobkowicz materya rozmowy miała również koloryt polityczny, a wyszła z tego punktu, że gospodyni domu uściśnięła księżnę Julię i nazwała ją heroiną dnia.

— W Wiedniu całem o niczem innem, tylko o tobie mówią...

— Ależ—odparła młoda kobieta—coż się koniec końcem tak nadzwyczajnego stało?...

— Jakto co?!...

— Najjaśniejszy pan audyencyi nam udzielił...

— I?... — księżna Lobkowicz na to.

— Oto wszystko...

— Spojrzał!—zawołała z przyciskiem.

— Spojrzał? — zapytała księżna Julia, zdziwiona akcentem, z jakim księżna Lobkowicz wyraz ten wymówiła.

— Spojrzał, ach! spojrział!... Rzuciło się to w oczy nam wszystkim, zdarzyło się bowiem poraz pierwszy od czasu, jak najjaśniejszy pan na tronie zasiada... Spotkało to ciebie księżno, piękna... o... Jest to wypadek tak nadzwyczajny, że wypadek ów cały świat wielki wiedeński poruszył do głębi...

X.

Z a g a d k i.

Spojrzenie cesarskie wywarło, w rzeczy samej, wrażenie ogromne, które wyraz swój znalazło w nadskakiwaniach, jakimi towarzystwo wiedeńskie otoczyło młodą parę. Dygnitarze, którym księstwo wizyty składali, niezwłocznie ich rewizytowali, a wielki marszałek dworu przysłał im zaproszenie na recepcyę wieczorne do zamku.

— Ph... — odezwał się przeciągle hrabia Orfeusz, gdy zaproszenie nadeszło — kuzynka widocznie oczarowała cesarza...

Księżna domyślała się, że przyczyna odznaczenia, jakie ją spotkało, nie w czem innem tkwi, jeno w piękności jej. Kobiety we względzie tym bywają niekiedy do przesady domyślne. W tym razie atoli rzecz się układała naturalnie, ta bowiem zachodziła okoliczność, o której powiedzieć było można, „że księżna piękna a Litawor młody”. Litawor cesarski posiadał także same kości i ciało i takąż samą krew, jak śmiertelnicy zwyczajni i od popędów krewkości nie broniły go bynajmniej, ani reguły etykiety hiszpańskiej, ani surowość obyczajów, zaprowadzona na dworze. Kto wie przytem, czy widok piękności nie poruszył w duszy jego uczuć, które edukacya tłumi-

ła, lecz zniszczyć nie zdołała! Piękność oddziaływała nie na same jeno zmysły; powinowactwo jej z dobrem jest bliskie; etykieta chrześcijańska aniołów archaniołów przyozdabia we wdzięki jaknajsubtelniejsze, ażeby jaknajpouëtniejszymi uczynić reprezentowane przez nich cnoty. Zaręczyć więc nie można, że młody cesarz stanięcia przed obliczem jego młodej księżny nie wziął w znaczeniu zjawiska anielskiego.

Że ona na nim wrażenie sprawiła, to wątpliwości nie ulegało. Gdy się na podniesieniu pojawiła, cesarz drgnął, oczy się mu nagle ożywiły i zabłyśzczały, wargę się podniosła i zadrżała; rękę wyciągnął i, gdy do niej młoda kobieta usta przyciągnęła, nie cofnął jej, wyciągniętą ją trzymał i księżnę oczami ścigał, póki miejsca nie zajęła. Następnie widząc na nim było przez chwil kilka wzruszenie, nad którym nie odrazu zapanował; gdy zaś zapanował, głowę spuścił i ukradkiem zwracał od czasu do czasu wejrzenia w stronę, w której księżna Frangopano siedziała. Dworacy, wysocy dygnitarze i mężowie stanu, co gesty jego wszystkie wystudowali i znaczenie onych na wylot znali, niczego podobnego świadkami nie byli.

— Włoszka...—szeptali sobie w duchu.

— Włoszka...—powtarzały w duszy damy dworskie, znające jeszcze lepiej gesty cesarskie.

I sformułowało się ogólne, niesłychanie ważne i niezmiernie interesujące pytanie:

— Co z tego wyniknie?...

Około zapytania tego zasnął się, niby około kołowrotka tkackiego, ruch umysłów w sferach najwyższych i wywołał ruch towarzyski. Stał się bowiem fakt zagadkowy, brzemienny następstwami, których rozum najbystrzejszy przewidzieć nie umiał. Każdy więc i każda pragnęli poznać bliżej istotę, co

fakt ów sprowadziła. Ciśnięto się do księżny Julii, względnie do markiza Frangopano, w którym upatrywano w perspektywie kierownika spraw politycznych, rozdawcę łask i względów monarszych.

Dygnitarze, goszcząc u księstwa, nie wahali się, celem sondowania gruntu, dotykać kwestyi drażliwych. Do kwestyi tego rodzaju należał naprężony nieco stosunek Zrinich do tronu, mianowicie zaś, stosunek eks bana. Jeden z najpierwszych o takowy potrafił kanclerz...

— Hrabia Mikołaj... — odezwał się — o, hrabia Mikołaj...

— Źle zrobił...—pochwyciła księżna.

— Przez co?...

— Przez to, że urząd złożył...

— Ach! to wielka prawda...

— Ale złe to naprawićby się może dało... —
pochwyciła.

— A to jak?...

— Wywierając na nim zemstę...

Kanclerzowi przy wyrazie ostatnim oczy dziwnie zamigotały.

— Zemstę szlachetną...—dodała.

— Szlachetną?...—zapytał.

— I wspaniałomyślną...

— Polegającą na?...

— Zamianowaniu banem brata jego... — odpowiedziała.

— A?...—odezwał się.

— Gdybyś wasza ekscelencya myśl tę najjaśniejszemu panu nasunął...

— O, księżno!...—odrzekł tym tonem, co zarazem zobowiązanie się i niezobowiązanie oznacza.

Myśl ta, z którą się księżna Julia przed kilku dostojnikami zwierzyła, ponieważ z ust jej wyszła, po-

szła w obieg i stała się rodzajem skazówki we względzie tej zagadki, jaka się w dniu audyencyi zrodziła. Zagadano o Piotrze Zrinim, jako o postawionym przez Włoszkę kandydacie na godność bana i dziwiono się jeno, czemu ona na godność tę męża nie prowadzi. Wszak Frangopanowie banami bywali. Czemuż nie kieruje męża?

— Pokieruje go ona inaczej... — domyślano się.

Nadszedł dzień recepcyi. Jarzące światło zalewało komnaty, przeznaczone na przyjmowanie gości — przyjmowanie, polegające na tem, że goście bawili się sami, niekiedy muzyka przygrywała, a zawsze w bufecie znajdowały się jadła i napoje, pozwalające zgłodniałym posilić się, spragnionym pragnienie ugasić. W ciągu wieczora nadchodził moment, w którym się najjaśniejszy pan pojawiał. Towarzyszyło mu dostojników dworskich kilku. Wchodził; goście się szykowali w dwa szpalery, wśród których się przesuwali powoli, kiwając z lekka głową na prawo i na lewo panom i damom, co się przed nim nisko pochyłali i zatrzymując się od czasu do czasu dla rzucenia po słów kilka niezrozumiałych osobistościom, na których się uwaga jego zatrzymywała. Tego lub tej o zdrowie pytał; temu lub tej słówko łaskawe rzekł i na odpowiedź nie czekał. W sposób ten recepcye się odbywały — zawsze jednakowo, bez zmiany najmniejszej. W sposób ten odbyła się i ta, na której się księstwo Frangopano pojawili.

Sale zalewało światło, odbijające się w zwierciadłach, kryształły się iskrzyły, brzozy i złocenia wystawały, tu i owdzie potworzyły się grupy, z których jedne siedząc, drugie przechadzając się, zabawiały się rozmową. Do jednej z grup, skupionych około podeszłej księżny Rakoczy, wchodziła księżna i księżniczek kilka, w liczbie ich księżna Julia. Księżna Rakoczy nachyliła się do niej i szepnęła:

— Przysuń się do mnie...

Gdy młoda kobieta ruch ten wykonała; księżna Rakoczy przysłoniła sobie usta wachlarzem i półgłosem zapytała:

— Hrabianka Helena Zrini... znasz ją?...

— Doskonale...—odrzekła.

— Powabna?...

— Uroczą...

— Cnotliwa?...

— Czyż o tem wątpić można?... Zriniówna...

— Tak... no... — odrzekła poważna matrona.

Wątpić jednak można, co się prawowierności tyczy... Zriniowie na punkcie tym nie są zbyt twardzi...

— Przeciwnie... Zachowują zakon i pełnią obrządki; w domu kapelana mają...

— Słyszałam o tem... mnicha...

— Augustyanina... Człek świętobliwy...

— Świętobliwość augustyańska chwiejna nieco... o...—rzekła stara księżna. — Lepsza jednak taka, niż żadna, pomimo że nie pojmuję dla czego Zriniowie nie wzięli sobie kapelana z towarzystwa jezusowego... nie pojmuję...—dodała tonem zafrasowania i po chwili... zapytała:—Ale Helena?...

— Dziewczyna najbogobojniejsza...

— To mnie cieszy... Wiesz bowiem?... syn mój do Czakowaca pojechał...

— Słyszałam o tem...

— Otóż to... Pojechał... Nie wiem jeszcze, czy co będzie z tego...

— Wasza książęca mość mówił?... — zapytała księżna Julia tonem takim, jakby nie wiedziała o co chodzi.

— Mówię, że nie wiem, czy co z tego będzie...

— Z czego?...

Księżna Rakoczy jednak, jakby zapytania tego nie słyszała, prawiała dalej:

— Najjaśniejszy pan wprowadzie na ciebie spoj-

rzał, ale to się tłumaczyć może rozmaicie... Zobaczymy... zobaczymy... Franciszek jednak, syn mój, pojechał... pojechał... Najjaśniejszy pan...—zaczęła.

I urwała. Ruch się zrobił.

— Al... — odezwała się, usiłując się podnieść. Jakaś kuzynka, która jej nie odstępowała, pośpieszyła z podaniem ramienia i sędziwa niewiasta wstała.

— Chodźmy...—rzekła do księżny Julii.

Obie księżny, jedna siwa i żółta, druga młodością i pięknnością jaśniejąca, uszykowały się w szeregu, oczekując na monarchę. Oczekiwanie potrwało chwil kilka. Ukazał się nareszcie, szedł powoli w odzieży aksamitnej, w kryzie białej, w orderach i łańcuchu; peruka jego kiwała się raz w prawo znów w lewo, wargę wisiała; nagle stanął niby wryty naprzeciwko księżny Julii, wargę mu zadrgała, oczy wlepił i, zwracając się do księżny Rakoczy, zapytał:

— Pani... za Wenecją... tęsknisz?...

Widocznem było, że zapytanie drogę zmyliło, dla tego też stara księżna odpowiedziała:

— Najjaśniejszy panie... łaski tyle...

— Mąż... zdrów?...

Mąż jej, głośny Jerzy II, który do spóiki ze Szwedami na Polskę był napadł, od lat czterech w grobie spoczywał.

— Najjaśniejszy panie...—odrzekła.

— Wdziękami swemi młodemi przyozdabiasz pokoje nasze... — wybąknął; wargę mu zadrgała; na księżnę Julię z pod oka spojrzął, zlekka jakby dla ulżenia sobie w piersiach duszności, odsapnął i dalej poszedł.

W sposób ten w annalach dworskich przybył fakt nowy, dziwniejszy i bardziej zagadkowy, aniżeli poprzedzający. Wszyscy, co się w sali znajdowali, widzieli, że się cesarz przed księżną Julią zatrzymał

i mówił. Ogół przekonany był, że przemawiał do niej; ci jednak, co bliżej stali, dostrzegli, że przemawiał do księżny Rakoczy; ci zaś, co stali jeszcze bliżej, słyszeli wyrazy przemowy. Powstały stąd sprzeczności wnet na miejscu. Szeregi się rozprzęgły, grupy potworzyły, rozmowy ciche się pozawiały—wyrazy cesarskie z ust do ust krążyć i wywoływać zachwyty ogólny poczęły.

— Jakie to wielkie!... jakie wspaniałe!... jakie głębokie!...

— Najjaśniejszy pan o Wenecyi wspomnieć raczył!...—odezwała się do jednego z baronów w pończochach i szarfe jedna z hrabin w sukni kanarkowej, nadając wyrazom swoim akcent tajemnicy gabinetowej.

— O Wenecyi!...—odpowiedział baron.

— I o mężu...

Baron westchnął.

— Co to za mądrość głęboka!...

— Ach!... głęboka...

Nikt, z tych nawet, co najdokładniej wyrazy przez Leopolda I, wymówione słyszeli, omyłki nie zaznaczał. Jedna tylko księżna Rakoczy nie podzielała opinii ogólnej i jedna księżna Julia miała opinię od ogólnej odmienną. Pierwsza nie wiedziała, co myśleć; druga instynktem kobiety młodej odgadywała uczucia, jakie widok jej w młodym człowieku wzbudzał. Zeszły się i spotkały dwa prądy magnetyczne, których zlanie się zależało od warunków jeszcze nieznanых. Podczas kiedy cesarz do księżny Rakoczy mówił, stojąc przed księżną Julią, tej ostatniej krew falą do głowy uderzyła i sprawiła jej rodzaj omdlenia—omdlenia takiego, jakiego doznawać musi motyl, gdy wiatr go rzuci na liść mimozy i liść się nad nim zawiera, ogarnia go, dusi i udusza. Młoda kobieta

czuła coś naksztalt gniecienia do koła siebie — czuła coś naksztalt więznięcia skrzydeł — gorąco i słabo się jej robiło. Odetchnęła i ulgi doznała, gdy się cesarz oddalił.

— Słyszałaś?... — zapytała jej tonem poufnym księżna Rakoczy, uprowadzając ją ze sobą na miejsce dawniejsze.

— Słyszałam...—odrzekła.

— Wszystko?... co do słowa?...

— Wszystko, zdaje się...

— Cóż ty na to?...

— A cóż!...

— Najjaśniejszy pan, o! najjaśniejszy pan... Powiem ci coś pod sekretem... Najjaśniejszy pan złożył dowód rozumu wielkiego, że się oddał w ręce ojców jezuitów... Gdyby z nim był ksiądz Müller, byłby mnie o zdrowie męża mego nie pytał... Wiesz dla czego?...

— Dla tego, że ksiązę Jerzy nie żyje...

— To jedno, a po drugie, że jest—tu głos zniżyła i westchnęła—w piekle... oh, w piekle...

— Bóg miłosierny...—zaczęła księżna Julia.

— O! nie mów ty mi tego... Bóg miłosierny, zapewne, ale nie na takich, jakim on był, grzeszników zapamiętałych... O... — westchnęła — on w piekle i najjaśniejszy pan o zdrowie jego pytał... Co to znaczy?...

Księżna Julia ramionami wzruszyła. Grzeczność nie pozwalała jej starej i bardzo poważnej damy z błędu wyprowadzać. Nie powiadała więc, że za pytanie to stosowało się nie do nieboszczyka księcia siedmiogrodzkiego, ale do żyjącego markiza.

— Chyba... — zaczęła księżna Rakoczy tonem domysłu — chyba że... Ale nie... Był to grzesznik za wielki...

— Bywają więksi...—odparła księżna Julia.

— Co ty powiadasz!...

— Cóż nieboszczyk tak dalece złego popełnił?...

— Ach!...

— Na Polskę napadał...

— O, to rzecz najmniejsza... W tem rację miał, jako ojciec syna, co po kądzieli ród swój z Batorych wyprowadza i może rościć pretensyę do korony polskiej... Ale... nieboszczyk—rzekła z oburzeniem — jezuitów odpychał... Wiesz?...

— Słyszałam o tem...

— Tak... odpychał... i dlatego do piekła poszedł, a najjaśniejszy pan o zdrowie jego pytał... Dzieją się rzeczy, których rozumem ludzkim pojąć nie sposób... Prawda?...—zapytała.

— Prawda...—odrzekła księżna Julia.

Rozmowę dalszą przerwało nadejście jakiegoś młodego wielkiego pana, który księżnę pozdrowił, obok nich miejsce zajął i mówić zaczął o wieści nowej, co się tylko na pokoje dostała.

— Najjaśniejszy pan ma zamiar dać polowanie...

— W rzeczy samej?... — zapytała księżna Rakoczy.

— Taka pogłoska chodzi...

— Nic o tem słyhać nie było...

— Przed chwilą... W chwili tej jednak pogłoska toczy się już, jak lawina...

— Która spadnie, rozbije się i nic z tego nie będzie...

— Kto wie... — odparł młody człowiek, przypatrując się z boku księżnie Julii.

— Ja bo polowań nie lubię... — odezwała się księżna Rakoczy, udziału w nich brać nie mogę...

— W powozie... — rzekł młody pan.

— Szkodzi mi powietrze świeże...

— Słyszałem jednak, że wasza książęca mość...
niegdyś...

— Ach... — westchnęła. — Niegdyś?... Dosiadałam niegdyś konia nieujędzonego...

Pani polowanie lubi?... — zapytał młody człowiek księżny Julii.

— Dosyć... — odrzekła.

— W Wenecyi się poluje mało... laguny...

— Ale laguny nie zalewają wszystkich posiadłości weneckich...

Przysunęła się księżna Lobkowicz.

— Zapewne państwo o pogłosce mówicie... — zaczęła.

— Polowanie... — odrzekła księżna Rakoczy.

— Niespodziewane i nieprzewidywane...

— Dziwne, zaprawdę, dzieją się rzeczy... — księżna Rakoczy na to. — Czy jednak pogłoska to prawdziwa?...

— Jaknajprawdziwsza... Najjaśniejszy pan oznajmić raczył wielkiemu łowczemu, którego spotkał w kołnacie okrągłej... Będzie polowanie, będą inwitacje...

— I na jakąż to intencją?... — zapytała stara księżna.

Na zapytanie to młody pan i księżna Lobkowicz równocześnie na księżnę Julię spojrzenia zwrócili i, luboć były to spojrzenia przelotne, młodej kobiecie policzki krwią się oblały. Księżna Lobkowicz odpowiedziała:

— Najjaśniejszemu panu podobało się...

— Na kiedyż to?...

— Pojutrze...

— Jeżeli pogoda będzie sprzyjała...

— Naturalnie...

Nadszedł moment, w którym, wedle przepisów, recepcya się kończyła. W momencie tym wielki marszałek dworu oznajmił gościom, jako najjaśniejszy

pan oddalić się im pozwala i wnet na pokojach powstał ruch. Zaproszeni powstawali, żegnali jedni drugich i wynosili się. Księżna Lobkowicz, poprzedzając w towarzystwie księżny Julii i swego męża, mówiła do niej głosem zniżonym:

— Pojawienie się twoje, moja ty najpiękniejsza, spowodowało zmiany nadzwyczajne i niesłychanie ważne.

— Zmiany?... — odezwała się młoda kobieta.

— Najjaśniejszy pan... ożywił się...

— Niepokoi mnie to... — szepnęła księżna Julia.

— Czemu?...

— Nie wiem... — westchnęła.

— Ij... niepokoić się nie masz czego... kto wie... kto wie... — powtórzyła księżna Lobkowicz dwa razy i zamierzała słów parę jeszcze dodać, lecz z powodu zbliżenia się osób innych przestać musiała na serdecznem a długiem młodej księżny uściśnieniu.

Z pożegnaniem do niej ciśnięto się. Darzono ją ukłonami niskimi, jakie składali mężczyźni i okazami czułości wielkiej, z jakimi wynurzały się pannie. Powiedzieć nie można, ażeby to jej zadowolenia sprawiać nie miało. W sferze, do której należała, potrzeba wielkiego bardzo hartu ducha, ażeby nie dać przystępu próżności. Miłemi więc były młodej księżnie hołdy, które odbierała, a miłemi jej były tem bardziej, że się takowych nie spodziewała. Wezwanie jej do Wiednia miało znaczenie somacyi, nacechowanej niełaską, dotykającą rodziny, do której mąż jej należał i przypuszczalnem było, że cecha ta odbije się na przyjęciu. Na to się zanosilo. W zetknięciu się najpierwszem towarzystwo okazywało jej grzeczność wielką, ale zimną i sztywną. Lecz cesarz „spojrzał” i w chwili jednej zimno i sztywność zmieniły się w serdeczność, podszytą rezerwą etykie-

talną, co w takim, etykieta drobiazgową skrupowaniem towarzystwie, jakim było towarzystwo owoczesne wiedeńskie, wydawało się rzeczą naturalną.

W następnym po recepcyi dniu wielki marszałek dworu osobiście przywiózł księstwu inwitacyę na polowanie, mające odbyć się nazajutrz. Inwitacyę zaopatrzył w informacye ustne, nabrzmiał wielką dla młodej pary przychylnością. Informacye tyczyły się szczegółów etykiety, która i na łowach przestrzegana była, a polegały głównie na tem, ażeby we wszystkim i wszędzie zostawiać cesarzowi stanowisko przodowe i miejsce najpierwsze.

— Gdy — mówił — najjaśniejszy pan kogo do boku swego powoływać raczy, to się do osoby jego konno nie podjeżdża, piechotą nie podchodzi bliżej, jak na kroków siedem... Dawniej było dziesięć ale świętej pamięci cesarz nieboszyk, postanowieniem powziętem na radzie aulicznej dnia 7 marca 1651 roku, naznaczył kroków siedem...

Wymieniał i tłumaczył szczegóły inne. Nie omieszczał dać skazówki i co do toalety, dla której istniały przepisy szczegółowe; na odchodnem zaś zaalecił stawienie się na punkcie zborym punkt o godzinie oznaczonej.

— Punktualność bowiem — powiadał — jak najściślej jest przez najjaśniejszego pana przestrzegana...

Jest do zauważenia, że hrabia Orfeusz, ani na audyencyi, ani na recepcyi się nie prezentował, nie prezentował się zaś nie dlatego, że mu odmówiono, ale dlatego, że żądania nie zanosił. Księżna mu to wymawiała i do wystąpienia na dworze namawiała.

— Nosisz nazwisko, które ci obecnie szeroko drzwi otworzy... — mówiła.

— Uhm... — odpowiedział z gestem przeczenia oznaczającym.

— Czemu?... — zapytała.

— Dlatego, że są to drzwi, przez które łatwiej wejść, aniżeli wyjść...

— A to?... — zapytała.

— Przejdźcie przez nie, jak przejście przez próg klasztorny, wkłada na duszę charakter raz wyryty i nigdy niezmazany...

— Przesadzasz...

— Patrz, księżno, na dworaków wszystkich.

— Przerażasz mnie...

— Nie przerażaj się...

— Jeżeli się i ja zmienię?...

— To zależy...

— Od czego?... — zapytała.

— Od tego, jak będziesz siebie samę brała: czy, jako aktorkę, czy też, jako spektatorkę?... Trudno to wprowadzić na taki lub inny nastrój się ton, można jednak... Mówię to z doświadczenia własnego... Udało mi się utrzymać w roli spektatora, kiedyś się czasu onego w świetle polerował i napał-trzyłem się tak dalece, że od patrzenia dalej ochota mi odpadła...

— Byłbyś wziął udział w polowaniu...

Młoda kobieta zamyśliła się. Nowe, w jakim się niespodzianie znalazła, położenie nie było dla niej ani trochę jasnem. Przeczuciem coś odgadywała i „coś” owo przedstawiało się jej tak, że przypuszczać mogła zagrażające jej jakieś bliżej nieokreślone niebezpieczeństwo. Na dworze Ludwika XIV wiedziałyby, o co chodzi. Na dworze Leopolda I, w którą jeno stronę wzrok zwróciła, w każdej przedstawiała się jej gęsta zasłona, przy której na warcie stała etykieta uniżona, wygładzona, wypolerowana, z głową pochyloną i dłońmi bogobojnie złożonemi, ale niezłomna i nieubłagana. Sprawy sobie z tego zdać nie umiała i na zastanawianie się czasu dosyć

nie miała z powodu, z jednej strony, wizyt ustawicznych, z drugiej, ustawicznego myślenia o stosowaniu się do przepisanych drobiazgowo form.

XI.

Astrologia.

Komnata miała wygląd niezwykle. Kształt jej wewnętrzny przedstawiał koło regularne; sufit był sklepiiony i zaopatrzony w okna, które od punktu środkowego rozchodząc się ku obwodowi, tworzyły gwiazdę ośmiopromienną. Każdy z promieni dochodził do gzymsu, po którego drugiej stronie przedłużał się oknem podłużnem. Komnata więc posiadała osiem okien, wyglądała nakszałt klatki dużej. Posiadała osiem okien, ale drzwi ani jednych. Wchodziło się do niej przez podłogę, przez otwór otoczony balustradą. Środek zajmował stół krągły suknem czerwonym okryty, a zastawiony instrumentami astronomicznymi, pomiędzy którymi w oczy się przedewszystkiem rzucała ogromnych rozmiarów kula niebieska, osypana podzielonemi na konstelacje gwiazdami. Obok leżały większe i mniejsze lunety, linie, trójkąty, cyrkle, kompas, papier, kałamarze, pióra, wałeczki podługne, rurki, miseczki jedne z piaskiem, drugie z żywym srebrem, jakoteż książek dużych kilka i pokreślone na tekturze figury, przedstawiające się pod po-

stacją tych figur, jakie się dziś używają, jako wzory do posadzek. Figury podobne widzieć się dawały na ścianach do koła rozwieszone. W komnacie, której podłogę gruby okrywał kobierzec, znajdowało się stołków kilka i krzesło jedno. To ostatnie stało pod ścianą usunięte; na jednym ze stołków, przy stole siedział człowiek stary, okryty tą odzieżą, która w czasie owym służyła jako uniform uczonych i miała podobieństwo niejake do sutanny księży świeckich i habitu zakonnego. Uczeni stanowili stan i fach i odznaczali się wśród śmiertelników zwyczajnych.

Mąż uczony przy stoliku siedział, przed nim stała lampa i rzucała odbłask na oblicze pościółki i zmarszczkami okryte. Blask padał na karton znakami okryty i figurami pokreślony. Uczony jednak na figury nie patrzył. Łokcie miał na stole oparte a oczy powiekami zasłonięte. Spał. Spał i nagle ocknął się. Oczy przetaił, na zegar spojrzął, odchrząknął. Po odchrząknięciu ziewnął, znów odchrząknął i jął się na stole narzędzia niektóre przedstawiać. Przsunął klepsydrę, zwierciadło wklęsłe i jakieś jeszcze narzędzie, odsunął nieco lunetę, wstał, spojrzął na zawieszony na ścianie duży barometr, powiódł okiem po półeczkach, na których stały słoje i słoiki szklane z płynami i proszkami i zatrzymał się przed jednym z okien. Przez okno widzieć się dawało niebo gwiazdami obsypane. Starzec postął chwilę i przeszedł do okna obok. Przy tem postął znów i udał się do następnego. Obszedł okna wszystkie po kolei, obejrzał horyzont cały, zamyślił się i, usiadłszy przy stole na miejscu swoim, jął się znów przedstawiać narzędzia. W ciągu czynności tej coś snadź o słuch jego uderzyć musiało, albowiem przerwał przedstawianie nagle i zwrócił oczy ku otaczającej otwór baryerze.

— A... — odezwał się po cichu sam do siebie

i, cyrkiel w rękę ująwszy, począł stawiać takowy na leżącym przed nim, figurami poznaczonym kartonie.

Oblicze jego wyrażało natężenie uwagi, które nie harmonizowało z obojętnością poprzednią. Z obojętności przeszedł nagle do zatopienia się głębokiego w badaniu, do zatopienia się tak głębokiego, że ani słyszał, ani widział, jak z otworu w podłodze wysunęła się postać ludzka i, o baryerę ręką się opierając, na niego patrzyła. Uwagę jego postać ta wówczas dopiero na siebie zwróciła, gdy postąpiła kroków kilka.

— Ach!... — zawołał, z siedzenia się zrywając z szybkością, na jaką wiek mu jego pozwalał, w głąb się cofając i przybierając postawę pokorną i uniżoną. — Wybaczycie mi racz, najjaśniejszy panie.

Osobistością, co weszła, był nie kto inny, jeno Leopold I.

Cesarz nie nie odpowiedział. Kroków parę postąpił, po stole, po rozstawionych na takowym narzędziach okiem powiódł i na krzesło poręczowem usiadł.

Zapanowało milczenie. Starzec stał, cesarz siedział.

Leopold miał na sobie podbitą lekkim futerkiem, długą, koloru ciemnego odzież i na głowie, zamiast peruki, ciepłą futrzaną czapkę. Bez peruki wyglądał bardziej po ludzku, mimo, że też same pozostawały rysy oblicza, też same przymglone oczy i też sama obwisła warga. Brakło jednak tego, co szpetność potęgowało i z racyi tej przedstawiał się pod postacią mniej wstrętną. Usiadł; głowę spuścił, powieki zamknął, zdawało się w głębokiem utonął w zamyśleniu. Starzec, nie zmieniając postawy, z pod oka na niego patrzył; w oczach jego powoli kreślił się wyraz zadziwienia, które w końcu zmieniło się

w zapytanie, mogące być w następujący wytłomaczony sposób:

— Co mu się stało?...

Milczenie panowało długą chwilę. Ciszę prze-rywało miarowe dygotanie zegaru, który szedł, nie zważając na obecność cesarza i znaczył czas zarówno dla niego, jak dla robaczka najmizerniejszego. Skazówka przesuwiała się z minuty na minutę, wreszcie zegar szypiec poczał, poprzedzając szypieniem bicie godziny i cesarz głowę podniósł. Podniósł głowę, westchnął, patrzył jakby starca nie widział, w końcu się odezwał:

— Cóż więc?...

— Najjaśniejszy panie... — odparł zapytany, głowę z uszanowaniem pochylając.

— Obserwowałeś, doktorze?...

— Obliczałem, najjaśniejszy panie...

— Co?...

— Kierunek promienia...

— Syryusza?...

— Nie, najjaśniejszy panie... Na horyzoncie naszym świeci obecnie blaskiem całym gwiazda wieczorna...

— Wiemy o tem... — przerwał cesarz.

— Weszła — dodał doktor — w konstelację waszą, najjaśniejszy panie...

— Wenus weszła w konstelację naszą!... — podchwycił cesarz żywo.

Leopoldowi I uradowanie zajaśniało na obliczu, z oczów mgła pierzchła; wstał, nie jak zwykły z powagą monarszą wstawać, ale jak wstaje zwyczajny, lat dwadzieścia cztery liczący śmiertelnik i odezwał się:

— Widzieć to musimy...

Starzec mu lunetę podał. Cesarz, okiem na zegar rzuciwszy, podszedł do jednego z okien, lunetę do oka przyłożył i, snadź rzeczy świadomy, od razu ją na niebo, w punkt, o który mu chodziło, zwrócił.

Patrzył długo. Po ustach jego od czasu do czasu uśmiech się przewijał i wargą dolną mu drżała. Obserwował i obserwowany był. Starzec, z boku stojąc, przypatrywał się mu z tym w oczach wyrazem, który oznacza rozwiązywanie zagadnienia. Gdyby zaś kto w chwili tej starca obserwował, poznałby, że wyraz w oczach jego, niepewny zrazu, upewniał się stopniowo i strzelił w końcu wykrzyknikiem: *eureka!* Doktor zagadnienie rozwiązał. Do oczów jego wrócił spokój obojętny, ów spokój uczonego, którego nie wzruszają wyroki, występujące pod postacią rezultatów badań naukowych.

Cesarz lunetę od oka odjął i sam do siebie rzekł:

— Tak... Wenus w konstelacyi...

Rzekłszy to, lunetę starcowi oddał i miejsce swoje zajął.

— Horoskop? — odezwał się po chwili tonem zapytania.

— Nie stawiłem go jeszcze, najjaśniejszy panie...

— Czemu?...

— Wejście do konstelacyi nastąpiło dziś dopiero...

— Dziś? — zapytał Leopold I tonem, w którym brzmiało zdziwienie lekkie. — Nie w chwili, gdyśmy po raz ostatni audyencyi udzielali?...

— Dni temu pięć Wenus zbliżyła się — mówił starzec — zbliżyła się w sposób taki, że zachodziła wątpliwość, co do drogi, którą pójdzie... Widać w niej było wahanie się tak, żem przypuszczał, iż się po dotychczasowej prześliznie, nie wkracając w środek tarczy... Wkroczyła dziś dopiero, najjaśniejszy panie...

— Dziś — szepnął cesarz.

— Najjaśniejszemu panu wiadomo — ciągnął starzec — że światła niebieskie nastawiają drogi swoje nie wedle przeszłości, ale na przyszłość... Drogi ich idą ku temu, co będzie...

— Stawże, doktorze, horoskop...

— Najjaśniejszy pan zejść mnie właśnie raczyłeś nad badaniem aspektu...

— Badaj dalej...

— Zabierze to czasu nieco — zauważył starzec tonem przestrogi pokornej.

— To nic — odparł cesarz. — Poczekamy...

Mąż uczony ręce zlekka zatarł, zlekka odchrząknął i zapytał:

— Wasza cesarska mość przeto pozwolić mi raczy?...

— Na co?...

— Do rzeczy przystąpić?

— Rób, doktorze... rób tak, jakbyś się nie znajdował w obecności cesarza... Cesarz znika w obliczu tych sił, co się nam pokazują tajemniczo na stropie niebieskim ..

— Nie znika, najjaśniejszy panie — odparł starzec.

— Śmiertelnik każdy ma gwiazdę swoją...

— Ma... ale inną jest gwiazda śmiertelnika, odpowiadającego przed Najwyższym sam za siebie, inna śmiertelnika, odpowiadającego za miliony... Cesarz... cesarz zwłaszcza taki, jak ty, najjaśniejszy panie, jest *legio*...

Słowa te zasępiły Leopolda I. Czoło sfałdował i, głowę zwiesiwszy, w milczeniu się pograżył.

Doktor z boku przy stole usiadł i, rozłożywszy

przed sobą karton czysty, zaznaczył na nim punkcikami gwiazdy w takim, jak się w konstelacyi przedstawiały, rozkładzie. Zrobił to z pamięci, widocznie wprawę posiadał. Naznaczył następnie gwiazdę jeszcze jedną i począł od niej, przy pomocy linii, przeprowadzać linie proste, co gdy uskutecznił, zamyślił się. Wpatrzony w figurę, przedstawiającą się pod postacią rozstrzelonych a z punktu jednego wyprowadzonych dłuższych i krótszych linii, myślał chwil kilka; następnie końce linii literami greckimi poznaczwał i cyrklem odległość tak punktu środkowego do końców, jakoteż końców pomiędzy sobą mierzył, zapisując na papierze osobnym wyniki mierzenia. Wyniki te ujął w formułę matematyczną, dodawał i odciągał, mnożył i dzielił. Zajmowało to czasu sporo. Zegar wybijał kwadranse, wybijał godziny: astrolog obliczał, cesarz czekał.

— Konjunkcya przeważa nad opozycyą — odezwał się wreszcie starzec.

— Hm? — wykrzyknął cesarz, jakby przebudzony nagle.

— Konjunkcya, najjaśniejszy panie, przeważa nad opozycyą...

Cesarz westchnął.

— Teraz kwadratury zbadać należy...

— Badaj — rzekł Leopold I.

Starzec, odsunawszy papier, a przysunawszy przed siebie karton, począł na figurze, poprzednio nakreślonej, łączyć liniami prostymi końce linii rozstrzelonych. Wyszedł ztąd podzielony na trójkąty wielobok, w którym on wycinki kreślił i wykreślił czworobok nieregularny, ochwytyjący najdłuższemi jednego z kątów ostrych ramionami punkcik, wyobrażający Wenere.

— Horoskop się zaznacza — odezwał się stary. — Kwadratura wyszła i wasza, najjaśniejszy panie, konstelacya bierze w uściski gwiazdę, co w nią weszła...

— Bierze ją w uściski! — zawołał Leopold I w uniesieniu.

Z siedzenia się zerwał i wnet, jakby niewidzialną pociągnięty ręką, napowrót usiadł.

Uniesienie świadczyło, że się w nim natura ludzka poruszyła.

Usiadł; przez chwil kilka milczał; z głębi piersi odetchnął i odezwał się głosem zwyczajnym:

— W uściski ją bierze... Horoskop tak stanął?...

— Tak się, najjaśniejszy panie, nastawił, ale...

— Ale... co?..

— Na tem nie koniec jeszcze...

— A... tak... — odrzekł cesarz, świadomy tajemnic sztuki. Światło jeszcze...

— Na jaki zamiar wasza cesarska mość chcesz, ażeby światło odpowiadało? — zapytał uczony.

— Na jaki zamiar? — powtórzył cesarz.

— Na pokój?... na wojnę?... na postanowienie od tronu jakie?...

— Ach!... nie na pokój, ani na wojnę, ani na postanowienie żadne... Nie... Idzie tu o co innego...

Wyrzekł słowa powyższe i zamyślił się, jakby odpowiedzi w głowie szukał. Po chwili zaczął powoli przez zęby cedzić, wymawiając wyrazy z wysiłkiem niejakiem.

— Chodzi o nas... o mnie samego, ach!... o mnie — powtórzył głosem, żalem, czy pretensją nabrzmiałym. — O mnie...

Zaimkiem „ja” w liczbie pojedynczej wymawiał z brzmiącym dziwnie akcentem. Akcent ów znamionował gwałcenie czegoś, czy też czemuś na przekór czynienie,

— Chodzi o *mnie* — mówił — o to, ażebym kiedy niekiedy o majestacie moim... zapominać mógł...

Starzec z głową pochyloną milczał i czekał.

— Czy rozumiesz, doktorze? — zapytał cesarz.

— Ja, najjaśniejszy panie, rozumieć nie potrzebuję... Rzecz się tyczy światła niebieskiego, które wyjaśnia i skazówki daje stosownie do postawionego mu zapytania...

— W konstelacyą weszła Wenus?...

— Tak jest, najjaśniejszy panie...

— Wenus... to jest piękność?...

— Piękność odwieczna, najjaśniejszy panie — odpowiedział.

— Zwróć-że się do niej i powiedz jej, że na odpowiedź od niej czeka nie cesarz, ale młodzieniec, który piękność... pokochał... Tego dosyć?...

— Badałem aspekt i kwadraturę dla majestatu cesarskiego...

— Ha... — westchnął cesarz.

— Konstelacya zresztą, najjaśniejszy panie...

— Prawda... Niech więc idzie!...

Wyrazy ostatnie takim wymówił tonem, jakim poniter, podwyższając kolejno stawki, stawia wszystko na kartę i wymawia; *va banque!*

Głęboko odsapnął. Stary astrolog z lunetą ku oknu się zwrócił; pierwaj atoli, zanim badanie rozpoczął, zawinał się i z półeczek na okno poprzemienił: stoików z płynami różnobarwnymi trzy, dwie sztuki szkła pryzmatycznego i kredy białej kawałek. Kredą

zakreślił na podłodze do koła krzesła, na którym cesarz siedział, krąg, i krąg ów podzieliwszy na części dwanaście, część każdą zaznaczył znakiem zodyakalnym. Od znaku, w którym się znajdowało słońce, przeprowadził drogę do okna i opisał takową kredą, niby ramą, ilustrując ramę cyframi chaldejskimi. Dalej pałeczką czarnoksięską ku cesarzowi skinął, po znakach kredowych nią powiódł i, na oknie ją złożwszy, do obserwacji przystąpił. Przyłożył lunetę do oka, patrzył, patrzył, odjął, znów patrzył; do stołka odszedł, na figurę na kartonie spojrzął, coś zapisał i znów do okna przystąpił. Powtórzył to razy kilka, wreszcie przy stole stanąwszy i na notatki patrząc, mówić począł:

— Promienie gwiazdy, co w konstelację waszej cesarskiej mości weszła, skupiają się w ognisko Bereniki, dawczyni zwycięstwa, i zwracają się stale w kierunku gwiazdy waszej cesarskiej mości; barwa ich jest barwą płomienia niebieskiego... Naliczyłem ich pięć, liczba nieparzysta, to znaczy konjunkcya bez opozycji...

Zwrócił się do okna napowrót, ustawił stoiki i na zawarty w nich płyn spuszczał promienie za pomocą pryzmatów szklanych. Promienie się łamały w linie rozmaite. Starzec linie te na papierze znać, ułamki zestawiał, ściągał, kombinował i po pracy dosyć długiej złożył z takowych napis, który w milczeniu cesarzowi do przeczytania podał. Leopold I spojrzął, brwi zmarszczył, przeniósł wejrzenie na stojącego z głową pochyloną starca, w papier się wpałtrzył, wreszcie powolnie litera po literze wyczytał:

— J-u-l-i-a — i dodał: — Ona...

Starzec głosem uroczystym zaczął:

— Horoskop wskazuje Julię, osłodę życia waszej cesarskiej mości...

Rzekłszy to, laseczką czarnoksięską na odwrot znaków kilka dał; znaki zodyakalne i chaldejskie na zakreśleniu kredowym startł, drogę przerwał, słoiki i przyzmaty uprzątnął, lunetę na stole położył i w postawie pokory uniżonej, jaką był przybrał za wejściem cesarza, stanął.

Cesarz czas jakiś w zamyśleniu siedział, milczał, westchnął i milczenie przerwał, zapytując:

— Horoskop?...
 — Najjaśniejszy panie — odrzekł starzec.
 — Powtórz, doktorze...
 — Najjaśniejszy pan kazać raczy mi robotę rozpocząć na nowo?

— Chcemy, żebyś jeno horoskop powtórzył...
 — Niestety, woli waszej cesarskiej mości uczy-
 nieć zadość nie jestem w stanie... Mówiły za mnie siły niebieskie, któreby znów zaklinać potrzeba...

— Napis...
 — Napis? — zapytał.
 — Karton nam pokaż — rzekł cesarz, oczami wskazując.

Starzec karton ze stołu wziął, cesarzowi go pokazał i cesarz nie wyczytał na takowym nic, nie nosił bowiem na sobie pisania śladów najmniejszych.

— O? — odezwał się zdziwienia tonem.
 Starzec stał z kartonem w ręku.
 — Było tu imię...
 — Nie wiem — odparł.
 — Zgoła? — zapytał cesarz.
 — Najjaśniejszy panie — odpowiedział, nadając wyrazom akcent protestu uniżonego.

Cesarz wstał, do okna podszedł; chwil kilka wpatrywał się w punkt na niebie, w którym Wenus jaśniała, odwrócił się i krokiem powolnym ku barye-

rze się skierował; za baryerę ręką się ujął, spuszczać się począł i w otworze zniknął.

— Aaah! — odetchnął astrolog stary, wyczekawszy, aż w otworze znikła nie tylko osoba cesarska, ale i słuchu onej doniosłość.

Odetchnął, uśmiechnął się, biret doktorski na głowie sobie poprawił i na zegar okiem rzucił.

— Toć to północ już minęła... uu?... Hm?... Młoda kobieta młodemu człowiekowi w oko wpadła i... co?... gwiazdy temu winne... O gwiazdy!... Trzeba jednak na kogoś odpowiedzialność zwalić: na kogóż, jeżeli nie na gwiazdy?...

Tocząc tę z samym sobą rozmowę, na stole porządek czynił, instrumenty poukładał, znaki z sukna postrzepywał i, książki przesuwając, nad jedną się zastanowił. Nie czytał jej, ale patrzył na nią przez chwilę, oczy przymrużył, głowę nieco przekrzywił i tonem przekąsu odezwał się:

— Kopernikus... Ph?... Czy co z tego będzie?... Nie chyba... Było gadania trochę i gadanie poszło na wiatr... nie — poprawił się i z uśmiechem dodał: — na gwiazdy, które nienadaremnie świecą, kiedy ludziom pocziwym zysk niosą... Gdyby nie gwiazdy, co bym ja począł z sobą?... O gwiazdy!...

Że wszystko już ułożone i uporządkowane było, staruszek lampę wziął i temi samymi schodami, któremi znikł cesarz, spuszczać się w dół począł. Schody kręcone szły przez cztery piętra i na piętrze każdym ustęp formował izbę, podobną do tej, w której założonem zostało obserwatorium astrologiczne. Różnica polegała na tem, że obserwatorium było sklepione, ustępy zaś miały sufity płaskie, opierające się na grubych belkach drewnianych. Na dole w ścianie widzieć się dawało drzwi troje, jedno wielkie, kute, te prowadziły na podwórzec, dwoje małych, również kutych, przebitych w murze w jednakowej od

pierwszych odległości. Tu się poczynają schody, po których gdy zeszedł mąż uczony, było cicho i pusto. Starzec się zwrócił do drzwi małych na prawo, klucz z kieszeni wy dostał, zamek otworzył, wyszedł i pozostała za nim ciemność. Gdy jednak na pół godziny przedtem zeszedł był cesarz, ciemność rozpraszały latarnie i oświecały gromadkę ludzi uzbrojonych, którzy go przyprowadzili i odprowadzili. Leopold I wyszedł drzwiczkami na lewo; warta ruszyła za nim i towarzyszyła mu przez długi, pusty kurytarz, doprowadzający do schodów. Na schodach on szedł przodem, warta postępowała za nim. Na piętrze pierwszym przedstawiły się znów drzwi, za którymi się znów otworzył kurytarz. Dalej nastąpiły komnaty. W jednej z nich warta się zatrzymała, cesarz minął następną, słabo oświetloną, i zakończył pochód swój w pokoju, dającym się od pierwszego oka rzutu rozpoznać, że był to pokój sypialny. Z boku, od ścian nieco odsunięte stało kotarami osłonięte łóżko wspiane, w kącie na stoliku paliła się lampa alabastrowa; na kominie gorzał ogień. W pokoju przyległym służba na wezwanie czekała.

Długo jednak służba czekała nadaremnie. Leopold I nie wzywał jej i sam się nie rozbierał. Usiadłszy najprzód przy kominku, w płomień czy wlepił i dumał. Od kominka przeszedł do okna, otworzył je i oczami śledził migotania gwiazd w konstelacji, w której Wenus jaśniała; od okna udał się do klęcznika, ukląkł na poduszce, dłonie złożył, głowę spuścił i pogrążył się w modlitwie cichej, którą zakończył odezwaniami się głosem:

— Panie, czyż ja nie mam prawa być równie szczęśliwym jak poddany mój!...

Klęczał chwilę jeszcze z głową do góry podniesioną i z wargą drgającą; z klęczek wstał, w dłoń klasnął, wbiegło trzech szatnych i przystąpiło do osoby monarszej, która wnet z odzieży dziennej roze-

brana, w nocną przebrana, w szlafmycę zaopatrzona, w pościeli położona i ciepło okryta, do zażywania snu przysposobiona została. Dodawać nie potrzeba, że sen uciekał od powiek Leopolda I.

XII.

Na polowaniu.

Luboć się cesarz położył bardzo późno, wstał jednak nazajutrz rano, to jest, o tej godzinie, o której wstawać zwykł; mszy porannej w kaplicy zamkowej wysłuchał, śniadanie spożył i, przebrawszy się stosownie, na łowy pojechał. Na koniu wyglądał nieświeźnie. Rumak dzielny, co pod nim, munsztuk żując, szedł z zacięciem zrywania się do lotu, nie nadawał postawie jego akcentu rycerskości. Cesarz trzymał się pochyło i taką miał minę, jakby na siodle drzemał. Może i drzemał ze względu na to, że noc bezsennie spędził. Za nim w oddaleniu niejakim postępowała eskorta świetna, złożona w części z gwardyi przybocznej w części z urzędników dworskich, wchodzących do korpusu łowieckiego. W przejeździe przez miasto wiedeńczycy i wiedenki zatrzymywali się i pokłonem pochylali. Cesarz mijał ich obojętnie. Za miastem kawalkada ruszyła kłusem i na miejscu zbornem stanęła punkt o godzinie oznaczonej, szykując się nieopodal od zastępu zaproszonych, złożonego z osób płci obojga.

Miejsce zborne znajdowało się w południowo-zachodniej Wiednia stronie, pomiędzy Schönbrunnem a Kalksburgiem. W punkcie tym wznosił się znieszczony później przez Turków pawilonik, przed któ-

rym w linii prostej ciągnęła się baryera biała, oznaczająca zagrodzenie. Z boku nieco w baryerze otwierały się wrota na biegunach osadzone, za nią zaś widniały lasy, okrywające przestrzeń, rozlegającą się pomiędzy rzeczkami Wien, od której stolica nazwę wzięła, a Liesing, która Wiedeń zdala od południa opływa i, w połączeniu ze Schwechem, do Dunaju wpada. Przestrzeń ta przedstawia się pod postacią wyżyny wzgórzystej, rozłożonej symetrycznie do pasa, ciągnącego się z zachodu na wschód i stanowiącego podział wód, które w strumieniach spływają na północ ku Wienowi i na południe do Liesinga. Strumienie tworzą wąwozy, jedne urwiste, inne o spadkach łagodnych, inne znów urwiste i kamieniste. Śród lasów polany i miejsca otwarte formują mniejsze i większe wytoki, które, w kombinacji z wąwozami, wytwarzają knieje i stanowiska myśliwskie.

Miejscowości tej część, wysokim ogrodzona częstokołem, zajęta była na zwierzyniec, część większa ku zachodowi wysunięta przeznaczoną była na wyłączny dla cesarza myśliwski użytek. Łowy odbywały się w ten sposób, że ze zwierzynca wypuszczano jelenie, sarny, zające, wilki, lisy, dziki, niekiedy niedźwiedzie nawet i te, przez psy gonione, wpadały do kniei i wychodziły na stanowisko cesarskie. Wszystko to było uregulowane i oprogramowane. Na stanowiskach cesarskich wznosiły się altany z balkonami, w kraty żelazne na wypadek wszelki zaopatrzone. Zwierz ten jeno od strzału cesarskiego nie zginął, który, bądź przeznaczony był na zapasy z psami, bądź też wymykał się, w bok szedł i knieję zmieniał. Żaden jednak nie uchodził, knieje bowiem obrzucano sieciami, buntownik się w takowe dostawał, uplatywał i z powrotem do zwierzynca szedł. Że Leopold I dosyć często chybiał, więc myśliwi inni mieli sposobność strzelania; w razie takim jednak mówiło się,

że „zranionego przez najjaśniejszego pana” dokończyli.

Takimi były łowy, na które księstwo Frangopano zaproszeni zostali. Z góry przez wielkiego łowczego wtajemniczeni, wiedzieli co ich czeka. Chodziło o wystąpienie stosowne, o przejażdżkę w świątynie cesarskiej i o uczestniczenie w końcu w śniadaniu, które się przyrządzało w Wiedniu i zastawiało, bądź, gdy pogoda sprzyjała, na otwartem powietrzu, bądź też w pawilonie. Pawilon na to był właśnie.

Dnia tego jednak pogoda dopisywała świetnie. Po mglistym nieco poranku nastąpił dzień jesienny jasny i cichy, nacechowany tą smętnością, którą żółte liście nawiewają i obnażone gałęzie charakteryzują. Zastęp zaproszonych, nieliczny ale dobrany, uszykował się wzdłuż drogi, jako skoro eskorta cesarska ukazała się wdali. Jeźdźcy poci obojej stanęli w szeregu jednym, w którym księżnej Julii dostało się miejsce na skrzydle prawem. Młoda kobieta wyglądała pysznie. Pod nią był koń kary kruczej czarności, arabskiej rasy, ognisty a łagodny, na którym ona, w udrapowaniu odzieży, co kształty jej uwydatniała, wydawała się niby geniusz wmieszany pomiędzy śmiertelników zwyczajnych. Jazda konna przyrumieniła jej policzki; z pod odrzuconego w bok woalu gazowego, który z ukosa przez czoło wałkiem lekkim się przewijał, wyglądały oczy jej duże, czarne, głębokie. Siedziała na siodle od niechcenia, prowadziła konia z wdziękiem niewysłowionym, zdawało się, że była przewodniczką tego szeregu jeźdźców, co się w lewo od niej ciągnął, że hetmaniła temu orszakowi świetnemu, w którym konie i ludzie, rynsztunki i odzież odznaczały się wyglądem i bogactwem.

Cesarz zrobił zastępu tego przegląd, przed szeregiem przejechał i razy kilka głową skinął. Przegląd zaczął od lewego. Na skrzydle prawem zatrzy-

mał się, widocznem było, że przemówić coś chciał, lecz konia ściągnął i, ściągając, niewłaściwie go snadź zażył tak, że koń, zażyciem tem zdziwiony, na tylnych łapach przysiadł i przedniemi do góry się wspiał. Cesarz w siodle równowagę stracił, strzemiona i cugle wypuścił. Koniuszowie poskoczyli. Na szczęście koń, który intencji złej nie miał najmniejszej, stanął i jeźdźcowi do odzyskania równowagi pomógł. Masztalerz go pogłaskał; cesarz strzemiona włożył i cugle ujął i, nie oglądając się, dalej ruszył.

Wypadek ten sprawił niejaki, pomiędzy damami zwłaszcza, niepokój. Słyszeć się dało ochów parę. Księżna Julia nie krzyknęła, strwożyła się jednak; pomyślała sobie, że najjaśniejszy pan nie należy do rodzaju jeźdźców znakomitych i dlatego wielkiem było zdziwienie jej, gdy usłyszała, mimowolnie niby wyrwyjące się z ust, wykrzykniki:

— Jakże świetnie jego cesarska mość konia zażył!...

— Jakiż z najjaśniejszego pana jeździec doskonał!...

— O jeździec... — w duchu sobie powiedziała.

Polowanie ją zdjęło. Na zastanawianie się atoli czasu nie miała, w chwili tej bowiem wielki łowczy na damy skinął i wskazał im miejsce tuż za cesarzem. Damy się naprzód wysunęły. Amazonek dwanaście do Leopolda I, przyszlusowało. Cesarz, ochłonawszy z wrażenia doznanego, wprowadził konia w ten chód szkolny, co się kurs galopkiem zowie. Damy wnet kursgalopkiem ruszyły. Za przykładem dam poszedł hufiec męski. Galopował cesarz, galopowały damy, galopowali dygnitarze wyso cy, galopowała eskorta; tentent kopyt wszedł w takt miarowy a to dlatego, że ponieważ Leopold I z prawej nogi konia swego do galopowania poruszył, więc wszystkie i wszyscy z nogi prawej galopowali. Powstało ztąd regularne: tra-ta-ta — tra-ta-ta — tra-ta-

ta, które echo na lasy niosło i w ostępach powtarzało. Tra-ta-ta rozlegało się po okolicy. Młoda hrabina jakaś, co obok księżny jechała, za ruchem galopka ciałem się podając, zawołała:

— Ach! jakież to zachwycające...

— Co?... — zapytała księżna.

— Nie słyszysz pani... echa?... Góry gór, lasy lasom jazdę naszą podają... Zdaje się, jakby nas jechało tysiące, tysiące... Ach! nikt jak najjaśniejszy pan jazdy urządzać nie umie... Ach! te echa...

Tra ta-ta — tra ta-ta. Cesarz zadumany jechał przodem, mijając pikierów, którzy go, ustawieni wzdłuż drogi co kroków półtorasta, salutowali. Galopował, kiwał się i myślał. O czym myślał? Może o gwiazdzie tej, co w konstelacyą jego weszła i na którą mu astrolog horoskop postawił? Horoskop imię Julii wypisał. Kobieta żadna bardziej, aniżeli ona, gwiazdą się zwać prawa nie miała. Jaśniała, promieniała, światłem się mieniła i na karym żrebcu galopowała. Może Leopold I myślał o tem, jak koniowi lekką być musiała, albo o tem, z jakim uczuciem kary żrebiec na grzbiecie swoim ją dźwigał, albo o czemś podobnem. Rzeczy takie przypuszczalnemi były z tego względu, że cesarz dopuszczał się w momencie tym, czego się przedtem nie dopuszczał nigdy, a mianowicie, głowę spuszczoną w bok wyginał i przez ramię w tył spojrzenia rzucał. Rzucał spojrzenia nie na kogo innego, tylko na księżną Frangopano. W manewrze tym tak się wydoskonalił, że spojrzenia wydłużał i zmieniał je w patrzenie. Była to sztuka niemała. Sztuka ta atoli spowodowała zdarzenie nadzwyczajne.

Droga prowadziła wzdłuż strumienia Liesing do Breitenfurth i w Breitenfurth zwrócić należało w prawo, ażeby dojechać do uroczyska, zwanego Wilcze Doły (*Wolfsgraben*), na którym odbyć się miały łowy.

Drogę tę cesarz znał doskonale, przewodził dobrze, dojechał do Breitenfurth i, zamiast wziąć się w prawo, w tył się zapatrzył i pogalopował wprost. Pogalopował cesarz, pogalopowały damy, pogalopowali zaproszeni panowie i dworzanie i eskorta, wszyscy. Na damach, panach i eskortie nie sprawiło to wrażenia najmniejszego. Cesarz prowadził, oni się za nim garnęli. Dworzanie jednak zaniepokoił się ogromnie. Na Wilczych Dołach przysposobionem było polowanie i śniadanie. W cóż się to obróci? Dwa odyńce na uwięzi czekają przy parkanie, czeka niedźwiedź z lasów tyrolskich sprowadzony, czeka jeleni kilka, psy skomlą, dojeżdżacze w pogotowiu stoją, a cesarz towarzystwo łowcze Bóg wie dokąd prowadzi.

Za Breitenfurthem droga zmieniła postać, z szerokiej bowiem, równej i ujeżdżonej stała się wąską pod górę idącą i nie noszącą na sobie śladów uczęszczania. Szczegół ten nie zwrócił na siebie uwagi cesarza. Galopował dalej pomimo, że koń nie szedł tym pewnym, co poprzednio, krokiem. Nie zważał na to, że przy drodze pikierów nie było i, dzięki okoliczności tej, nie była ona oczyszczoną z zawad, jakie przedstawiają podróźni. Skutkiem tego, trafił się chłop z furą drzewem nałożoną. Chłop z drogi nie zboczył, cesarz na niego wprost najechał i byłby ze spotkania tego nastąpił wypadek, gdyby nie koń, który furę z natchnienia własnego wyminął. Damy zdumionego chłopą objechały, panowie także; z eskorty gwardzista jeden mimojazdem dla zabawy korbaczem go ściągnął; wielki łowczy się przy nim zatrzymał i zapytał:

— Dokąd droga ta prowadzi?..

— Oj... oj... — była odpowiedź.

— Czego stękasz?... Nie stękać, ale odpowiadać!..

— Odpowiadam na zapytanie, co mi na plecy spadło...

— Odpowiadaj na to, co ci do uszów wpada, jeżeli ci uszy miłsze, aniżeli plecy... Dokąd droga ta prowadzi?

— Na zrąb...

— A za zrębem?

— W las...

— A za lasem?

— W wążów pfalzauski...

— Czy z wążowu tego można na Wilcze Doły wyjechać?

— Można, ale trzeba do Breitenfurth wrócić.

Informacje te dostawszy, wielki łowczy ostrogami konia spiął i za orszakiem popędził.

Widocznem było, że cesarz zbłądził, nie było jednak nikogo, coby się go z błędu wyprowadzić ośmielił.

Kursgalepek szedł dalej porządkiem swoim z tą jeno różnicą, że się echo nie rozlegało. Dźwięczny tętent kopyt zmienił się w mętny łoskot deptania. Zaszła zmiana jeszcze jedna. Poprzednio damy jechały po sześć z frontu; na wąskiej drodze musiały się wyszykować dwójkami. To ostatnie usunęło księżnę z pod promieni spojrzeń w tył cesarskich i zmusiło Leopolda I-go do wykręcenia się na siodle w celu dowiedzenia się, co się stało. Popatrzył, ale — czy widział? Od chwili tej spojrzeń w tył już nie rzucił, patrzył przed siebie i dojechał na zrąb, na którym tu i owdzie drzewo w sagach stało, tu i tam chłopci fury ładowali, ślady kół się rozchodziły i płątały, pnie sterczały, a wpoprzek leżał dąb duży zrąbany. Na widok dębu tego koń cesarski kark wygiął, uszy nastawił, furknął, nogi zebrał i susem jednym na drugą stronę kłody się przerzucił.

Przerzucił się koń, przerzucił się cesarz, ale, niestety — nie na koniu. Koń, kitę do góry podjąw-

szy, brykać zaczął; cesarz zaś pozostał na ziemi grzbietem do góry, przedstawiając postawą swoją podobieństwo niejakiemu do X. Z siodła, niby z procy, wysadzony, zakreślił w powietrzu łuk i padł na ziemię plackiem, pozbywając się z głowy kapelusza i peruki. Kapelusz, peruka i on zajmowali miejsca oddzielne, pierwszy na prawo na ziemi leżał, druga na pniu zawisała, trzeci zaś, na wielkie swoje szczęście — na to szczęście, co rodowi Habsburgów stale przyświeca — dostał się na miękki grubo warstwą liści suchych okryty grunt.

Wypadek ten z piersi dam wydobył jeden wielki okrzyk trwogi. Wszystkie przed dębem konie wstrzymały i, zanim okrzyk ich przebrzmiał, z po za kolumny damskiej wyskoczył, wichrem mimo przepędził, przez dąb przesadził i na miejscu przy cesarzu konia osadził jeźdźcie. Jeźdźcem tym był markiz Frangopano. W mgnieniu oka z konia zeskoczył, pochylił się, cesarza ramieniem wpół objął, dźwignął i na nogi go postawił.

— Najjaśniejszy panie... co?... — ze spótczuciem przemówił.

Cesarz się zatoczył, wnet jednak poprawił się i o sile własnej stanął.

— Wody może?...

Leopold I-y nic nie odpowiadał.

— Jak się wasza cesarska mość czujesz?

Przez czas ten dojechał orszak cały; mężczyźni z koni poziadali i w oddaleniu, jakie etykieta nakazuje, sformowali półkole, w którym oblicza wszystkie przyodziały się w wyraz smutku głębokiego. Masztalcerze poskoczyli do konia cesarskiego i wnet go pojmali. Łagodne zwierzę brykało, lecz wziąć się dało.

Cesarz nic nie odpowiedział na ostatnie markiza zapytanie i wprowadził go przez to w położenie fałszywe. Frangopano nie wiedział, co z figurą swoją począć. Spodziewał się podziękowania, a nie dosta-

wał odpowiedzi; patrzył w oblicze Leopolda I-go i widział, jak twarz jego, blada zrazu, odzyskiwała powoli barwę cery zwyczajną, jak oczy, które wyrażały przestrah, przybierały wyraz niezadowolenia surowego. Trwało to chwil kilka; wreszcie cesarz odwrócił się do niego tyłem i wykonał skinienie, zrozumiałe jeno dla dworzan. Dworzanie poskoczyli. Wielki marszałek przystąpił w postawie, oznaczającej oczekiwanie na rozkazy. Zamiast rozkazu usłyszał zapytanie.

- Gdzie się podział Breitenfurth?
- Pozostał, najjaśniejszy psnie, za nami.
- Przejechaliśmy go?
- Przejechaliśmy, najjaśniejszy panie!
- Niech tam na nas czekają.

Rozkaz ten wielki marszałek orszakowi myśliwskiemu powtórzył i wnet damy się zwróciły, panowie na koń powsiadali. Markiz jeszcze, co z sobą począć nie wiedział. Wydawało się mu, że mu się należy przynajmniej, jeżeli nie Bóg zapłać serdeczne, to uprzejme bodaj głowy skinienie. Nie wiedział, że stoi wobec tego samego Leopolda I-go, który nie będzie się czuł obowiązany podziękować Sobieskiemu za pewną — „przysługę małą.” Nie wiedział też, co począć z sobą — aż marszałek na niego skinął, dając mu znak oddalenia się. Nie pozostawało nic innego: cofnął się, na koń wsiadł i w chwilę później złączył się ze zjeżdżającym z góry orszakiem, w którym rozmowa toczyła się o wypadku, o zimnej krwi i o heroicznym znalezieniu się cesarza, a także o tem, że nad świętą osobą jego wyraźnie czuwa opatrność.

- Ten pień...—ktoś się odezwał.
- Ach, pień!...—ktoś zawołał.
- Bez przerażenia o tem myśleć nie można.
- Tak blisko...
- Tak blisko, że... peruka...

Na wzmiankę o peruce, jednej z dam słabo się zrobiło, opanowały ją mdłości—pogarnięto się do niej z solami i było to wielkie dla księżnej Julii szczęście, uwaga bowiem na mdlejącą damę zwrócona odwróciła się od niej w chwili, kiedy ona śmiechem parsknęła. Do śmiechu pobudziło ją wspomnienie peruki na pnium. Koniowi cugle ściągnęła, usta sobie chustką od nosa zasłoniła i zapanować zdołała nad wybuchem, któryby ją był na wieki skompromitował. Ochotę jej do śmiechu zneutralizowały przytem słowa męża.

— Zdaje się — rzekł markiz półgłosem, przyszlusowawszy do niej — żem się naraził na niełaskę cesarską.

— Zkąd że to!...—odparła.

— Etykietę zgwałciłem...

— W razach podobnych wolno chyba gwałtu się na etykiecie dopuścić...

— Zdaje się... Ale...

Ktoś podjechał; rozmowa się pomiędzy małżeństwem zerwała; księżna straciła do śmiechu ochotę.

Orszak, z góry zjechawszy, zatrzymał się w Breitenfurth przy karczmie.

— Cóż nastąpi dalej?—rzucił ktoś pytanie.

— Dziś z łowów nic już nie będzie... — odpowiedział z dygnitarzy jeden.

Opinia ta znalazła uznanie o ile powszechne, o tyle jednogłośnie; nie wiedziano jeno, jak się odbędzie powrót do Wiednia i czekano bądź na rozkazy, bądź na powrót cesarza, wogóle — na wiadomość ze zębów. Z panów jedni z koni posiadali i przechadzali się, inni żartować zaczęli z chłopami, których ściągnęła obecność jeźdźców płci obojej, przedstawiających grono, jaśniejące przepychem. Chłopi, w gromadę zbici, przypatrywali się oczami zdziwionemi. Wszystkie dzieci, prawie wszystkie niewiasty i nie jeden z mężczyzn mieli usta otwarte. Na za-

dawane im zapytania albo nie odpowiadali wcale, albo odpowiadali pomrukiem niezrozumiałym, a ścigali się w ilości coraz to większej, tak, że zebrała się pod karczmą ludność wsi całej w momencie, gdy z góry kłusem wyciągniętym nadjechał łowczy wielki. Nadjechał, konia wstrzymał i głosem donośnym zawołał:

— *Pleno titulo* panie i panowie, uszykować się raczcie tak samo, jak pod pawilonem... Najjaśniejszy pan przybyć raczy za chwilę...

Wnet panowie rzucili się do koni, powiadali i uszykowali się. Od karczmy drogi się rozchodziły—jedna do Wiednia, druga do Wilczych Dołów. Szereg wyciągnął się wzdłuż pierwszej.

— A nie!...—zawołał wielki łowczy—nie tędy...

Drogę do Wilczych Dołów wskazał.

— Nie do Wiednia?...—ktoś zapytał.

— Nie...—odpowiedział.

— Łowy więc?...

— Łowy... — odrzekł wielki łowczy i, gdy się szereg wyrównał, dodał:—Najjaśniejszego pana okrzykiem uwielbienia powitać należy, za zbliżeniem się przeto osoby jego, niech w szeregu panuje milczenie, niech jeno oczy wasze, panie i panowie, wyrażają zachwyt i nie prędzej, aż jego cesarska mość do środka szeregu dojedzie, niech nagle mimowolnie z piersi wszystkich wydrze się okrzyk: *Hoch!*... Koniecznem jest, ażeby okrzyk był mimowolny...

Zwrócił się następnie do wieśniaków.

— Wy chłopi!... — podniesionym zawołał głosem. — Wy, jak skoro okrzyk *hoch!* usłyszycie, krzyczcie z sił całych... krzyczcie i czapkami wymachujecie... Rozumiecie?... Który nie krzyknie i czapki w górę nie podniesie... kij!...

Powiódł następnie okiem po szeregu panów i gromadzie włościan i wkrótce potem ukazał się na drodze złożony z dworzan i gwardyi orszak, na czele

którego jechał stępem cesarz w peruce i kapeluszu. Jechał, zbliżył się — w szeregu panów oblicza jeźdźców przybrały wyraz rozrzewnienia radosnego i unabożnienia dziękczynnego, w oczach dam niektórych błyszczały łzy, a dłonie ich niby do modlitwy się składały. Cesarz dotarł do środka szeregu — milczenia nie przerwał nikt i kto wie, co byłoby nastąpiło, gdyby nie wielki marszałek, który, brwi zmarszczywszy, ręką energicznie dał znak. Na znak ten z pierśi wszystkich wydarł się nagle okrzyk grzmotny. Okrzyk chłopci podchwycili: *Hoch!* zabrzmiało donośnie, przeciągle, zawrzało i echem się podniosło na lasy i góry.

Leopold I szy zlekka kapelusz podniósł i z lekka głową skinął.

Okrzyk powtarzać się nie przestał, aż na dany przez wielkiego łowczego znak szereg się złamał i orszak sformował się tak, jak poprzednio, gdy z pod pawilonu ruszył.

Cesarz nie rzucał już spojrzeń w tył, jak na drodze z Wiednia do zrębu, niebawem też doprowadził grono gości myśliwych na Wilcze Doły, gdzie nastąpiło najróżd ogólne z koni zsiadanie, dalej rozprowadzanie na stanowiska, w końcu trąbienie i hukanie. Leopold I-szy w otoczeniu dam, które wnętrze altany zajęły, zajął miejsce swoje na balkonie, mając pod ręką dworzan, co muszkiety i lonty zapalone trzymali i w odwodzie gwardyę, która na warcie stała.

Słyszeć się dało zławianie psów i zławianie się to niebawem zmieniło się w to gwałtowne, chóralne, ze skowyczeniem połączone ujadanie, które znamionuje, że psiarnia goni na oko. Gonienie, echami po ostepach roznoszone, odezwało się w oddaleniu i stopniowo się wzmagало, zbliżało, aż zabrzmiało potężnie nieopodal i na strzał cesarski wyszedł duży, rozjuszony, kłami białymi i okiem zaognionem błyskający

odynieć, na którego psy, również rozjuszony, z tyłu i z boków się rzucały. Na widok ten dam kilka tłumiony okrzyk przerażenia wydało. Cesarz flintę wziął, na baryerze oparł, złożył się; giermek lont przytknął, wystrzał huknął — pies się wywrócił, odynieć dalej poszedł.

— Ranny! — wygłosił pośpieszający za psami dojeżdżacz.

— Ranny!... — powtórzyły z kniei głosy, którym zawtórowały wystrzały, powtarzające się jeden po drugim.

Wkrótce trąbienie oznajmiło, że dzik zginął, hałas w lesie ustał i w czas jakiś później wielki łowczy, poprzedzając niesionego na drągu odyńca, nadbiegł z zapytaniem, jaką najjaśniejszy pan zwierzyne ruszyć rozkaże.

Cesarz rozkaz dał. Trąbienie i gonienie powtórzyło się dla jelenia, który również zginął; powtórzyło się następnie dla drugiego jelenia i dla drugiego dzika — i tak dalej, aż się łowy skończyły i zastawiono — dla cesarza w altanie, dla gości pod niebem otwartem — śniadanie.

Po śniadaniu komendant gwardyi zażądał w imieniu cesarza od księcia Frangopano szpady, oświadczając mu, że do rozkazów dalszych aresztowanym jest w domu własnym.

KONIEC CZĘŚCI PIERWSZEJ.



387013124
172 451

BIBLIOTEKA DZIEŁ

WYCHODZI CO
w objętości je

WARUNKI PRE

w WARSZAWIE:

Rocznie . (52 tomy) rs. 10

Półrocznie (26 tomów) „ 5

Kwartalnie (13 tomów) „ 2 kop. 50

Za odnośnienie do domu 15 kop. kw.

Półrocznie

Kwartalnie

Cena każdego tomu 25 kop., w opraw

DOPLATA ZA OPRAWĘ:

Rocznie . . (za 52 tomy) . . . rs. 6

Półrocznie . (za 26 tomów) . . . „ 3

Kwartalnie . (za 13 tomów) . . . „ 1

Za zmianę adresu na prowincyi dopłaca si

REDAKTOR I WYDAWCA

Franc. Jul. Gra

Redakcyja i Administracyja: Warszawa, Nowy-Swiat 4
we Lwowie Plac Maryacki L. 4.

Drukarnia A. T. Jezierskiego, Nowy-Swiat

WYŻSZA SZKOŁA
PEDAGOGICZNA W KIELCACH
BIBLIOTEKA

130683

Biblioteka WSP Kielce



0150165